◆ KULTURA POSTĘPU i POKOJU ZWYCIĘŻY BESTIALSTWO WOJNY ◆

ODRODZENIE

TYGODNIK

Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok VI | Warszawa, dnia 4 września 1949 r. | Nr 36 (249)

JERZY KIRCHMAYER

HURAGAN WRZEŚNIOWY

Mija dziesięć lat, jak przez Polskę przetoczył się huragan, o nieznanej dotąd w historii sile i szybkości. Na nasze miasta, wsie i drogi, od jednej granicy do drugiej, spadła ulewa bomb i pocisków, na nasze wojska spadły niemieckie uderzenia pancerne i, zanim zdążono się opamiętać, znikły pułki, dywizje, armie. Przerażona, zaskoczona ludność poszła na tułaczkę w nadziei, że zdoła umknąć. W rzeczywistości powiększyła chaos, nędzę i śmierć. Gdzieś kątem Polski, jak szczury z tonącego okrętu, uciekały zaleszczyckie samochody. Ludzie zostali i próbowali się bronić. Jeszcze przez jakiś czas walczyły: Warszawa, Modlin i Hel, jeszcze rozlegały się strzały w lasach lubelskich i później pod Kockiem.

Po wrześniu, po huraganie, nastała głęboka noc okupacyjna i trwała długo. Mieliśmy dużo czasu na rozpamiętywanie pogromu. Brakowało nam tylko perspektywy. Cios był zbyt świeży. Jeszcze piekł żal, wstyd i wściekłość na sprawców klęski. Potem skończyła się wojna i wypadki wrześniowe odsunęły się nieledwie tak szybko, jak kiedyś przyszły. Dziś zaczynamy już o nich zapominać. Ostatecznie nie mieliśmy nigdy czasu i warunków, ażeby ocenić wszechstronnie skutki tej żywiołowej katastrofy. Żyje jeszcze wielu autorów klęski i w głębi polskiej duszy błąka się jeszcze sporo wrześniowej goryczy. A jednak dziesięć lat, i to w XX wieku, daje już pewną perspektywę. Ci, co przeżyli w Polsce huragan i jego skutki, powinni w dziesiątą rocznicę klęski wrócić myślą do wypadków wrześniowych i popróbować wyrobić sobie o nich sąd, możliwie najbliższy prawdzie.

Zapewne, kampania wrześniowa rozpętała drugą wojnę światową — i w tym tkwi *ogólnoświatowe* znaczenie kampanii. Zapewne, tryumfująca dotychczas bezkarnie metoda faszystowskiego szantażu natknęła się po raz pierwszy na próbę oporu — i w tym tkwi *ogólnopolityczne* znaczenie kampanii. Zapewne, na polskich równinach, w Borach Tucholskich, nad Wartą, Bzurą i Wisłą, w polskim, ponad zwykłą miarę rozsłonecznionym błękicie wrześniowym ujawniły się po raz pierwszy niemieckie metody wojny błyskawicznej — i w tym tkwi *ogólnowojskowe* znaczenie kampanii. Ale przede wszystkim Wrzesień 1939 roku przeorał Polskę wszerz i w głąb, wydobył na wierzch wszystkie nasze ówczesne słabości i naszą siłę, toteż w tym tkwi jego najważniejsze dla nas, jego *ogólnopolskie* znaczenie.

ŹRÓDŁA POLSKIEJ SŁABOŚCI PRZEDWRZEŚNIOWEJ

Zewnętrzna siła państwa zależy ściśle od jego siły wewnętrznej. Polityka zagraniczna państwa, jego siła gospodarcza, jego wojska są słabe, gdy społeczeństwem targają wewnętrzne waśnie narodowościowe, gdy dobrobyt ludności zanika; gdy siła zbrojna nie znajduje należytego oparcia duchowego w zwaśnionym społeczeństwie i materiałowego w błędnie nastawionej gospodarce.

Barykady na przedmieściach Warszawy

Skoro pod tym kątem widzenia spojrzy się na przedwrześniową Polskę, rzucają się od razu w oczy wszystkie jej ówczesne słabości.

Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 Polska była krajem wyniszczonym przez wiekową niewolę polityczną i gospodarczą. Wojna 1918/20 r. pogłębiła gospodarczą słabość Polski. Pokój w Rydze, zawarty w roku 1921, przyłączył do Polski ziemie narodowościowo obce, a gospodarczo zaniedbane i w większości deficytowe. Polska rozpadła się od razu na tak zwaną Polskę „A" i Polskę „B".

Pod względem gospodarczym czynne było tylko jedno płuco — Polska „A", jednakowoż i ono porażone było chorobą wynikającą z kapitalistycznej gospodarki kraju ubogiego w własny kapitał. Trzeba bowiem było płacić lichwiarskie procenty obcemu kapitałowi, wyprzedawać polski przemysł, bankowość, w pogoni za obcymi walutami uprawiać wyniszczający eksport dumpingowy. Ze względu na swoje klasowe oblicze rząd przedwrześniowy zamknął wrota polskiej wymiany gospodarczej ze Wschodem, który był naturalnym odbiorcą licznych gałęzi polskiej produkcji przemysłowej. W ten sposób kraj odzyskał niepodległość polityczną, ale grzązł nadal w niewoli gospodarczej. Była ona jeszcze cięższa niż dawniej, ponieważ gospodarkę poszczególnych ziem polskich przesłaniały przedtem wielkie zaborcze mocarstwa kapitalistyczne — Rosja, Niemcy i Austria — wyzwolona zaś słaba Polska musiała ulec wyzyskowi obcego kapitału, z największym trudem przebijając bariery celne, przegradzające gęsto wszerz i wzdłuż kontynenty świata. Równocześnie przed narodem polskim stanęły zagadnienia dotychczas nieznane — utrzymanie i rozbudowa państwowości, a w tym szczególnie kosztowne utrzymanie, uzbrojenie i uposażenie wojska oraz utrzymanie administracji. Ostatecznie Polska kapitalistyczna, pompowana niemiłosiernie przez żerujący na niej kapitał zagraniczny i uginająca się pod nadmiernymi wydatkami wewnętrznymi, nie stanowiła odpowiedniej bazy gospodarczej dla swoich sił zbrojnych. Ani nie mogła należycie ich uzbroić, ani też zebrać dla nich odpowiednich zapasów na wypadek wojny.

Słaby potencjał gospodarczy był więc pierwszym źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Polska była państwem narodowościowym, lecz ustrój państwowy nie brał tego pod uwagę. Narodowości wchodzące w skład państwa nie miały własnych uprawnień politycznych. Słabe państwo obawiało się ustroju, w którym narodowości rozporządzałyby szeroką autonomią. Na tym podłożu rosły waśnie narodowe o różnym natężeniu i różnych odśrodkowych kierunkach, podminowywały Polskę od wewnątrz, pogłębiały się z roku na rok, a na odcinku polsko-ukraińskim zaostrzyły się do tego stopnia, że oczekiwały tylko sposobności do przerodzenia się w walkę zbrojną.

Wadliwy ustrój państwowy był więc drugim źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Polska była terenem ostrej walki klasowej, której podłożem był wsteczny ustrój społeczny. Wyzysk człowieka przez człowieka przybierał tym ostrzejsze formy, że kapitalizm, zrywający się do prób imperialistycznych, a jednocześnie lawirujący wśród zagrażających właścicielom kapitału upadłości zwiększał ucisk robotnika, że polski obszarnik stojący nieledwie z reguły na progu bankructwa, utrzymując zacofane gospodarstwo, zwiększał również wyzysk chłopa i bezrobocie na wsi. Podobnie inteligencja pracująca w kraju pustoszonym przez bezplanową gospodarkę państwową, rabunkową gospodarkę prywatną, w kraju niskiej wytwórczości i drogiej oświaty, karlała, porażona najcięższą chorobą, jaka może dotknąć inteligencję — chorobą nadprodukcji inteligencji.

Wadliwy ustrój społeczny był więc trzecim źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Logicznym następstwem tych trzech słabości był stan naszych sił zbrojnych. Było to, według określenia jednego z najwybitniejszych generałów przedwrześniowych, wojsko „archaiczne", bez lotnictwa

Płonąca Warszawa

i bez broni pancernej, bo samoloty i czołgi kosztowały zbyt drogo, wojsko z zupełnie niedostateczną artylerią przeciwpancerną, ze skąpą, ciężką, z nielicznymi oddziałami saperów, nieruchliwymi dwu a nawet jednokonnymi pojazdami taborowymi, bo wszystko, co miało związek ze skomplikowaną techniką wojenną, było praktycznie niedostępne dla przedwrześniowej Polski. Słaby potencjał gospodarczy uniemożliwiał należyte uzbrojenie

Zatopione statki u wejścia do portu w Gdyni

i wyposażenie wojska. Zostało więc pozbawione wszelkiej siły zaczepnej, a rozporządzało tylko niedostateczną siłą obronną. W dodatku wojsko ponosiło skutki wadliwego ustroju państwowego i społecznego. Waśnie narodowościowe odbijały się ujemnie na duchowej spoistości wojska, co w czasie kampanii wrześniowej wyraziło się w bardzo nierównomiernej wartości bojowej i w tym tak bardzo charakterystycznym, aż nadto szybkim, rozpływaniu się oddziałów.

Słabość wojska była więc czwartym źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Pochodną tych czterech słabości była polityka rządów przedwrześniowych.

Nic dziwnego, że w warunkach wadliwego ustroju państwowego i społecznego, w warunkach nędzy gospodarczej, szerzącej się zwłaszcza w Polsce „B", polityka wewnętrzna była pełna nieufności do własnego społeczeństwa. Wyrażało się to w sanacyjnym rządzeniu krajem, nie liczącym się z wolą narodu, w narzuceniu narodowi konstytucji, która uświęcała właśnie taki system rządów, w administracyjno - policyjnych chwytach, do których rząd uciekał się bez skrupułów, ilekroć spotykał opór społeczeństwa, a zwłaszcza jego klas pracujących i mniejszości narodowych. Niezdolność do otrząśnięcia się z przedwrześniowej słabości Polski popychała sanację z jednej strony do naśladowania dyktatorskich metod uprawianych przez rządy faszystowskie, z drugiej — do podtrzymywania bezwzględnie wrogiego stosunku do Związku Radzieckiego, który stanowił naturalnego sprzymierzeńca.

W tym miejscu polityka wewnętrzna wywierała charakterystyczny wpływ na politykę zagraniczną. Ogólna słabość państwa, względy ustrojowe, klasowe i słabość wojska o tyle wpychały kolejne rządy sanacyjne w objęcia faszystowskich Niemiec i Włoch, o ile odpychały je od Związku Radzieckiego. W ten sposób doszło do znanej proniemieckiej polityki Becka, która pomagała walnie Hitlerowi, a pustoszyła własny kraj. Ta polityka pogłębiała bowiem wewnętrzną słabość państwa. Zdrowy rozsądek i instynktowe wyczucie społeczeństwa widziały w Niemczech śmiertelnego i zażartego wroga Polski, podczas gdy rząd i klika rządząca wiązały się coraz silniej z tym wrogiem. To właśnie ta polityka rozbrajała wojsko polskie wobec wroga, z którym trzeba było bić się we Wrześniu. Rozbrajała nie tylko w formie określonych kontaktów oficerów II Oddziału sztabu głównego, ale najbardziej w formie wzmagania przygotowań wojennych przeciw Związkowi Radzieckiemu a zaniedbania przygotowań przeciw Niemcom. To ta sama polityka rozbrajała wojsko, uniemożliwiając mu współdziałanie z Armią Czerwoną, a dając w zamian spóźnione i wojskowo bezwartościowe sojusze z mocarstwami zachodnimi.

Antynarodowa polityka wewnętrzna i zagraniczna była więc piątym źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Tych pięć zasadniczych słabości naruszyło równowagę duchową naszego społeczeństwa. Bezplanowa gospodarka, faszyzująca polityka zagraniczna, nacjonalistyczna polityka wewnętrzna w stosunku do mniejszości, rozdział między rzeczywistymi interesami państwowymi a uprawianą polityką, poczucie istotnej słabości własnego wojska, czemu nasze społeczeństwo dawało, wbrew zapewnieniom rządowym, tak wymowny dowód zbiórką na FON, wreszcie niepewność materialnego bytu jednostki wskutek permanentnego kryzysu gospodarczego — wszystko to sprawiało, że w polskiej polityce, gospodarce, wojsku, administracji zapanowała „doktryna zrywów" zamiast spokojnego planowego działania. Fatalne, niszczące skutki tej doktryny można prześledzić bez trudu w niespodziewanych zwrotach polskiej polityki zagranicznej, którymi rządy sanacyjne zadziwiały cały świat. Można je prześledzić równie łatwo na odcinku wojskowym w postaci błędnej, zrywowej doktryny dowodzenia. W jednym ze swoich słynnych rozkazów, wydanych w czasie ubiegłej wojny, Stalin wymienił zdolności organizacyjne dowódców jako jeden z trzech stałych czynników, które wywierają rozstrzygający wpływ na wynik wojny. Gdy pod tym kątem widzenia spojrzymy na działalność przedwrześniowych dowódców polskich, stwierdzimy bez trudu zamiast zdolności organizacyjnych — zrywy.

Oto Śmigły, który buduje wielkie, jak na nasze stosunki, fortyfikacje nad granicą wschodnią, potem opracowuje plan wojny przeciw Związkowi Radzieckiemu, naraz spostrzega, że to wszystko jest mu potrzebne na zachodzie, zrywa się więc na wiosnę roku 1939 i opracowuje na kolanie plan wojny przeciw Niemcom, improwizuje fortyfikacje i koncentracje, podporządkowuje sobie bezpośrednio wszystkie armie od Grodna po Gdynię od Gdyni po Żywiec i od Żywca po Lwów, chce dowodzić wszystkim, ale skoro wybucha wojna, opuszcza już po kilku dniach Warszawę i jedzie do Brześcia nad Bugiem, skąd nie może odowodzić niczym.

Podobnie działo się na niższych szczeblach. Oto na przykład dowódca armii „Łódź" zrywa się w przeddzień wojny do czynu, każe całej armii opuścić przygotowane od wielu miesięcy stanowiska obronne i maszerować nad granicę państwową, jakby zamierzał wyprawę na Wrocław. Pobity i odrzucony w nieładzie, porzuca dowodzenie armią i jedzie w kierunku Warszawy. Te i niekończące się inne zrywy buchające jak słomiany ogień, bezplanowo i ze szkodą dla własnego wojska a pożytkiem dla nieprzyjaciela, gasnące równie niespodziewanie, jak wybuchły, były objawem jeszcze jednej słabości, która porażała nasz naród.

Błędna doktryna zrywów, zamiast planowego działania, była szóstym źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Wszystkie te źródła słabości mieściły się w najdziwaczniejszych granicach państwowych. Długie korytarze, przesadne wybrzuszenia głębokie zagrożenia tyłów, wysunięcie najwydatniejszych ośrodków gospodarczych w pobliże granicy niemieckiej uniemożliwiały skuteczną obronę państwa, które z powodu płytkości swego obszaru nie pozwalało już i tak na stawianie długotrwałego oporu.

Wyjątkowo niekorzystny zarys granicy państwowej był więc siódmym źródłem ogólnej słabości przedwrześniowej Polski.

Jeżeli do tych słabości dodamy ogromną, niewspółmierną przewagę niemiecką, zrozumiemy dobrze przyczyny druzgocącej klęski wrześniowej. Tym bardziej, gdy te liczne słabości zestawimy tylko z jednym samotnym źródłem polskiej siły.

ŹRÓDŁO SIŁY PRZEDWRZEŚNIOWEJ

Jedynym źródłem, z którego zrodził się opór stawiany niemieckim najeźdźcom we Wrześniu, z którego zrodziły się wszystkie powodzenia w owej nieszczęsnej kampanii, był *polski patriotyzm*. To on, jeszcze przed wybuchem wojny, zmusił rząd do zmiany proniemieckiej polityki. To on postawił na nogi cały naród do walki z Niemcami. To on sprawił, że pomimo zbrodniczej polityki i ogromnych zaniedbań wojskowych zdołaliśmy sklecić jakiś opór najeźdźcom. To nie rzeczywista siła materialna, lecz duchowa siła patriotyzmu zrodziła bohaterską obronę Poczty Polskiej w Gdańsku, obronę Westerplatte i Oksywia, prowadziła polskich żołnierzy nad Bzurą do krwawych beznadziejnych natarć na olbrzymią przewagę niemiecką, to ta siła patriotyzmu i poczucia swej sprawiedliwej sprawy popychała nielicznych polskich lotników do szaleńczych ataków powietrznych na niemiecki korpus pancerny, posuwający się szosą piotrkowską, to poczucie obowiązku względem Ojczyzny wiodło polskich rozbitków przez Puszczę Kampinoską i krwawą zaporę niemiecką pod Łomiankami do Warszawy, to tylko w oparciu o patriotyzm ludu warszawskiego zdołano zorganizować obronę stolicy i nic innego nie ożywiało polskich żołnierzy w beznadziejnych bojach pod Iłżą, na Mazowszu, w Lubelszczyźnie, na przedpolach Lwowa, nie prowadziło daleką drogą z Polesia przez Kock na Warszawę. Ta niespożyta siła patriotyzmu sprawiła, że mimo sttraszliwej klęski, mimo ucieczki rządu i wielu dowódców, opuszczony naród nie załamał rąk i kontynuował zbrojny opór zbrodniarzom hitlerowskim w czasie okupacji.

Jednak patriotyzm ludu chociaż jest siłą potężną nawet w dzisiejszej maszynowej epoce wojennej, nie jest w stanie rozstrzygnąć wojny, operacji, nawet bitwy na swoją korzyść, jeżeli patriotyczny naród idzie do walki z gołymi rękoma, jeżeli musi toczyć wojnę, chociaż sprawiedliwą, ale nieprzygotowaną politycznie, gospodarczo i wojskowo. Taki odosobniony patriotyzm może stoczyć tylko bój o honor Ojczyzny. Dopiero gdy działa zgodnie z innymi czynnikami — rozstrzyga o zwycięstwie. Toteż sama siła ducha polskiego społeczeństwa zdołała we Wrześniu stoczyć tylko krótkotrwały bój przeciwko przewadze wroga i przeciwko wszystkim siedmiu słabościom przedwrześniowej Polski, które w okresie przedwojennym nie zaniedbały niczego, ażeby tę siłę ducha osłabić. I odwrotnie, przekonaliśmy się w tej wojnie, że siła materialna Francji, nie powiązana z siłą ducha narodu, legła w roku 1940 w okolicznościach prawie identycznych, jak Polska. W podobnych okolicznościach co Polska i Francja upadły pod naporem faszyzmu inne państwa europejskie w latach 1940—41. Natomiast tajemnica wielkiego zwycięstwa radzieckiego w drugiej wojnie światowej tkwi właśnie w zharmonizowaniu czynników duchowych i materialnych, które rozstrzygają o wyniku wojny.

Klęska wrześniowa, jakkolwiek straszliwe były jej bezpośrednie skutki w postaci niemieckiego terroru okupacyjnego była katastroficznym wstrząsem uzdrawiającym. Przestaliśmy żyć w krainie politycznych społecznych i wojskowych fantazji, które bezcelowo zużywały nasze siły i z roku na rok osłabiały nasz kraj. Klęska wrześniowa nie tylko ujawniła społeczeństwu potężną siłę bojową jego patriotyzmu i stała się punktem wyjścia do polskiego oporu w czasie okupacji, ale stała się także punktem wyjścia dla nowej Polski rozumiejącej skutki przedwrześniowej słabości państwa pozbawionego wątpliwości o fizycznej niemożności uprawiania polityki dwóch wrogów, o rzeczywistych zamiarach niemieckiego sąsiada i o konieczności politycznego, ekonomicznego i wojskowego współdziałania ze Związkiem Radzieckim.

Jerzy Kirchmayer

Uciekinierzy na szosie tucholskiej

JAN ROJEWSKI

Fragment powieści

„WARSZAWIANKA"

Mimo że kopanie kartofli należało do funkcji bardziej niebezpiecznych, zwłaszcza dzisiaj, gdy pozostało już tylko to niewielkie pólko pomiędzy przednią barykadą za górką i Niemcami, poczuł się Władysław urażony trochę. Prawda, że na barykadzie u wylotu ulicy nie było artylerii, ale mógł przecież, jako inżynier, przydać się bardziej przy umacnianiu „Westerplatte" niż tutaj. Odłożył motykę i szybko wrzucał garściami obu rąk kartofle do niewielkiego kosza, wspierając się łokciami o ziemię. W ustach zgrzytał piach. Wyciągnął na chwilę ramiona i przyłożył policzek do chłodnej, spulchnionej ziemi. Poczuł falę ciepła w zdrętwiałym karku.

— Trzeba wracać...

Kobieta, czołgająca się tuż przy nim, szarpnęła go za rękaw. Oderwał głowę od ziemi, ale szybko wrócił do poprzedniej pozycji. Uniósł głowę wraz z całym tułowiem, wspartym teraz na łokciach i kolanach.

— Nie mogę już — wycedził poruszając obolałą szyją.

— Pański tyłek przedziurawią, nie mój...

Posuwali się z powrotem; ona czołgając się na brzuchu, on — na czworakach. Przed sobą pchali kosz z kartoflami. To samo robili inni, wyciągnięci w długą tyralierę z lewej i prawej strony. Koszyki, skrzynki i worki pełzały wolno w stronę górki przesłaniającej Warszawę. Tylko słup dymu i dalekie snopy iskier świadczyły o mieście. U stóp górki tyraliera przerwała się po środku i popłynęła dwoma strumykami, skosem przecinając łagodniejsze stoki. Wyżej, wzdłuż grzbietu porosłego wrzosami, sterczały lufy karabinów maszynowych. Z drugiej strony pagórka ciągnęły się zasieki z drutów kolczastych, jak iksy wystukane na maszynie do pisania. Łączyły się w linię obronną wątłe domki, porozrzucane tutaj rzadko. Głębiej otwierał się wąwóz wylotowej ulicy, zatarasowanej wozami tramwajowymi. Wzdłuż tej czerwonej barykady uwijali się teraz ludzie, cywile i żołnierze. Przed ścianą czerwieni wyrastał powoli szary pancerz z płyt chodnikowych i brukowca.

— Tu możemy odpocząć.

Kobieta usiadła, oparła się plecami o koszyk i zagryzając dolną wargę, patrzyła badawczo na płonące miasto. Kłęby dymu waliły nisko, piętrzyły się w fantastyczne potwory, wypuszczały brązowoczarne łapy, rozpinające się na wietrze w skrzydła gigantycznych nietoperzy. Fale napływały na falę, obnażając w rzadkich przerwach postrzępione wyrwy błękitu i czyste złoto ognia.

— Długo już nie wytrzymamy... — Kobieta ujęła kartofel w dłoń i podrzucała go miarowo, z przerwami. — Mówią, że bolszewicy poszli na Niemców... — Spojrzała na Władysława.

— Może dzisiaj... Wczoraj słuchałem radia, spałem w domu.

— A po co pan sypia w domu? Tu na barykadzie lepiej wiadomo, co jest, niż u pana w radio! Radio już tydzień temu szczekało, że Warszawy nie ma. Tam o wszystkim tak kłamią jak o Warszawie.— Wbiła czarny paznokieć w kartofel.

Wrzuciła kartofle z powrotem do kosza. Wstali i podnieśli w milczeniu skrzypiący kosz.

U wylotu ulicy i dalej aż do zasieków u stóp górki roiło się od ludzi. Okoliczni mieszkańcy, nie wyłączając dzieci i kobiet, niezmobilizowani mężczyźni z głębi miasta, którzy jak Władysław szukali tutaj, na liniach obrony, ucieczki od koszmaru własnych kamienic, wszyscy pragnęli jakiejś organizacyjnej dyscypliny w powszechnym chaosie klęski. Pułkownik, dowodzący odcinkiem obrony, nie sprawdzał już niczyich dokumentów ani nawet kwalifikacji. Każdy meldował sam, co potrafi i brał się za robotę, zanim zagadnięty o nią wojskowy zdążył wymyślić jakiś sensowny przydział. Tu, w robotniczej dzielnicy, na peryferiach, każdy mieszkaniec był fachowcem. Murarze, zbrojarze, cieśle, tramwajarze, zdunowie, hydraulicy. Pułkownik oznaczył tylko miejsce i w mig przytoczono tramwaje, powyrywano bruk z jezdni, rozebrano nawet częściowo zburzone domy. W tej chwili barykada zamykająca ulicę sięgała okien pierwszego piętra. Murarze schodzili już z prowizorycznych rusztowań; wspinali się po nich, ku górze, żołnierze, podając sobie z rąk do rąk broń i amunicję. Chłopców i kobiety przydzielano do aprowizacji, z którą było coraz gorzej. Tereny zaopatrzenia kurczyły się z każdą godziną, w miarę jak pierścień niemiecki zacieśniał się wokół miasta. Penetrowano już tylko pole bitwy, w krótkich przerwach między jedną strzelaniną a drugą. Od trzech dni stanowiły twarde, żołnierskie suchary jedyne pożywienie obrońców barykady, ochrzczonej jednogłośnie imieniem „Westerplatte". Dopiero dzisiaj po zwycięskiej potyczce i odparciu niemieckiej piechoty z powrotem za nasyp kolejowy, wyruszyła „brygada zaopatrzenia", do której przydzielono i Władysława, po ostatnie kartofle w promieniu działania. Jednocześnie żołnierze ściągali z pola bitwy poległych kolegów. To samo robili Niemcy po swojej stronie niczyjego terenu. Nie wywieszano białych chorągwi, nie układano się. Niemcy szanowali jeszcze wówczas majestat śmierci żołnierskiej, w obliczu własnych poległych.

W obszernym podwórzu kamienicy, tuż przy barykadzie, gromadzono prowiant na dzisiejszy obiad. Kilkanaście kobiet obierało kartofle, w kilku kuchniach polowych bulgotał wrzątek. Chłopcy pomagali kucharzom taszcząc skądś belki i rąbiąc je na opał. Zaraz po odsypaniu kartofli do wspólnego kopca zabrała się kobieta, niosąca wraz z Władysławem koszyk, za inną robotę.

— Jest cebula!

Wszyscy zgromadzeni w podwórzu pootwierali usta i zastygli w pozach radosnego zdziwienia. Dwunastoletni chłopiec, wykrzykujący raz po raz „jest cebula", zatrzymał się dopiero tuż przed kuchnią polową. Kilkanaście rąk sięgnęło jednocześnie do jego plecaka, zanim zdążył go zdjąć, ale żołnierz, pełniący funkcje kucharza, podniósł w górę drewnianą łyżkę, czym uspokoił zgromadzonych.

— Nie ruszać, bo będzie niedobrze! — Sięgnął po plecak. — Pokaż no, synu, tę cebulę... — Nie wierzył, dopóki nie zobaczył na własne oczy.

Przeżegnał się z wrażenia, przykląkł nad otwartym plecakiem i zaczął gwałtownie grzebać dłońmi wśród pękatych cebul, szeleszczących złotą łupiną. Śmiał się, ryczał, wył i parskał. Przyciskał do siebie to głowę chłopca, to garść cebuli, wąchając ją ze świstem.

— Gdzieś ty to znalazł? Gadaj!

— Z tamtej strony nasypu... — Chłopiec machnął nonszalancko ręką. — U szwabów — dorzucił.

Władysław wyszedł na ulicę. Łatwiej było czekać na upragnioną zupę tutaj niż w podwórzu na wprost cebul i bulgocącej wody. Podszedł do skwerku i zaczął wraz z innymi wyrzucać ziemię z płytkiego rowu. Od górki do barykady i z powrotem śmigał ciągle na koniu młody podporucznik. Salutował w lewo i w prawo, przykładając nieskazitelne peccary do błyszczącego daszka. Dowodził oddziałem przy zasiekach i czujkami na grzbiecie pagórka. Informował pułkownika o ruchach Niemców.

— Panie pułkowniku! — Zesztywniał na koniu, wyprężył się z ręką na daszku. — Melduję posłusznie, że Niemcy podrzucają czołgi na platformach kolejowych!

Pułkownik siedział na krawężniku skweru i patrzył na ziemię wyrzucaną z rowu. Przejechał zestawionymi palcami po cienkim nosie, rozstawił je na wąsach i znowu połączył na brodzie. Złożył wargi nad skupionymi koniuszkami palców w dziecinny grymas zastanawiania się.

— Nic na to nie poradzę, poruczniku. Nie mamy artylerii... Trzeba czym prędzej pochować poległych... A czołgi trzeba zatrzymać bez artylerii...

— Tak jest! — Podporucznik pogalopował z powrotem.

Pułkownik bawił się spulchnioną ziemią. Podrzucał ją i chwytał na grzbiecie dłoni kilka razy, aż ostatnie ziarenko nie zsypało się pomiędzy rozstawione palce. Wtedy brał nową garść ziemi i znowu zaczynał zabawę. Jakiś robociarz w niebieskim fartuchu z podkasanymi rękawami wskoczył do rowu, zmierzył jego szerokość składnym metrem, wygramolił się z powrotem i odszedł ciężkim krokiem w kierunku pobliskiej bramy.

Od strony pagórka zbliżali się żołnierze. Szli gęsiego, powoli. Każda trójka niosła na ramionach, jak ścięte drzewo, ciało poległego kolegi, szczelnie owinięte płaszczem. Gwoździe sterczących podkutych butów błyszczały w słońcu. Cywile i żołnierze porzucali zajęcia związane z obroną i łączyli się, obnażając głowy, w wielki pochód tuż za poległymi, płynącymi na barkach żołnierzy. Bokiem śmigał podporucznik osadzając i puszczając konia.

— Szesnastu żołnierzy — zameldował z ręką na daszku — oraz trzy kobiety, dwóch mężczyzn i sześcioro dzieci z „brygady zaopatrzenia"! — Jego twarz nie wyrażała nic poza służbowym skupieniem.

Poległych złożono do kilku bratnich mogił. Robociarz w błękitnym fartuchu zdążył nakryć ciała podłogą z przygotowanych w międzyczasie desek. Ziemia uderzała w deski, kilka kobiet zapłakało krótkim, zduszonym szlochem. Poustawiano naprędce zbite krzyże, pozawieszano hełmy. Pułkownik zasalutował, i po długiej ciszy zaczął drżącym głosem: „Jeszcze Polska..." Przerwał, gdy inni podchwycili pieśń i słuchał w skupieniu z palcami u daszka.

Nie rozeszli się jeszcze ludzie, gdy z boku, od poprzecznej ulicy rozległ się tętent kopyt końskich i w chwilę potem zajechała tuż pod skwerek armata zaprzężona w cztery pary artyleryjskich koni. Czterech żołnierzy zeskoczyło z siodeł. Na skrzydle toczyła się chłopska furmanka. Nim żołnierze zdążyli wyjaśnić swoje przybycie, chłopek-woźnica zeskoczył z kozła i podbiegł do pułkownika.

— Panie generale! — Potrząsał dłonią w stronę furmanki. — Od Łęczycy mnie ciągnie ze sobą, panie, ja mam gospodarstwo i rodzinę!

— Kto was ciągnie?

— Porucznik! Pod rewolwerem!— Pociągnął za sobą pułkownika. — On taki, że się generała nie boi.

Podeszli do wozu. Pomiędzy dwoma pociskami, na słomie, z głową opartą o worek z owsem, leżał porucznik. Martwy. Z ostygłej dłoni wypadł rewolwer.

— Co to znaczy? — Pułkownik uniósł brwi.

Chłopek potrząsał zmarłym, oniemiały z wrażenia. Uniósł porucznika; plecy miał całe we krwi. Zabrali go w stronę tamtych mogił.

— Panie pułkowniku! — Jeden z żołnierzy wystąpił i zasalutował. — Niemcy rozbili nas tydzień temu. Z baterii został tylko nasz działon i to bez jaszcza. Tylko te dwa pociski, co pan widzi. Porucznik zarekwirował wóz, załadował pociski i do Warszawy. Między frontami. Cud boski, żeśmy wszyscy nie legli pod kulami. Haubica 155! — Skończył wskazując ręką na działo.

— A z obsługi nikt nie pozostał?

— Padli pod bombami. My jesteśmy z kawalerii. Przydzielono nas w ostatniej chwili. Z końmi jesteśmy obeznani... — Rozłożył ręce, świadom, że to nie wystarczy.

— A kto tu z artylerii? — Rozejrzał się.

— Ja, panie pułkowniku.

Władysław wystąpił do przodu, obciągnął nieco marynarkę i kręcił szyją w kołnierzyku.

— Wy? — Obrzucił go krytycznym spojrzeniem. — A mówiliście wczoraj, że jesteście saperem.

— Nie, panie pułkowniku. Mówiłem, że jestem inżynierem budowlanym. Chciałem pomóc przy barykadzie.

— A z której podchorążówki?

— Z pułku, panie pułkowniku... Bez stopnia... Szeregowiec z cenzusem...

— Inżynier bez stopnia?

— Byłem w podchorążówce... — stuknął palcem o palec. — Odkomenderowano mnie jednak do pułku.

— Komunista?

Twarz pułkownika wydłużyła się, ale po namyśle dodał: — To bzdury! Strzelać umiecie?

— Umiem, panie pułkowniku.

— No to jazda! Na stanowisko!

Podporucznik w peccarach zasalutował. Galopując obok toczącego się działa mrugał na Władysława, jak gdyby zapraszał go do zabawy.

Chłopek podwiózł pociski do linii zasieków i pomógł ustawić działo. Nie odchodził, mimo że zwolniono go z obowiązku dalszej służby wojskowej. Po śmierci porucznika poczuł się odpowiedzialny za losy pocisków.

— Muszę zobaczyć, jak to będzie dalej... — powiedział i usiadł obok Władysława, zapatrzony w niebo zmierzchu. — I tak do domu już nie przejadę. Szkoda porucznika... On to by tymi pociskami całą wojnę wygrał.

— Postaram się nie zmarnować waszego trudu...

— A no zobaczymy...

— Wojny może nie wygram, ale swoje zrobimy.

— Ja się na tym nie znam. Odstawiłem na miejsce, teraz pańska kolej...

Gwałtownie zadarli głowy w górę, ale warkot, który usłyszeli, nie był warkotem samolotu. Po zboczu górki cwałował już ku nim porucznik. Za nim biegli żołnierze.

— Czołgi! Ognia!

— W jakiej odległości, panie poruczniku? — Warkot potężniał. Porucznik próbował pokazać coś na mapniku, ale zanim zdjął rękawiczki i rozplątał snop rzemieni, dźwigających mapnik, lornetę, kompas, chlebak i rewolwer, zanim oswobodził mapnik — ukazały się na szczycie pagórka dwie potężne gąsienice, toczące się jak gdyby ku niebu. Rozległ się ogłuszający huk. Lufa cofnęła się po łożysku. Na fioletowe wrzosy opadały blachy i metalowe części jak stado ptaków.

— Rozerwał się pod czołgiem!

Władysław stał nie mniej zdumiony niż pozostali. Ktoś pociągnął go mocno do przodu.

— Naprzód!

Biegł razem z innymi. Zapadli się we wrzosy na szczycie. Przed nimi, w ocienionej pagórkiem przestrzeni oddalały się żelazne żółwie w cichnącym warkocie motorów. Zagrali im na drogę z broni maszynowej. Leżeli wsparci na łokciach nie wierząc długo własnemu szczęściu. Dopiero, gdy wieczorna mgła wessała ruchome punkciki i absolutnej ciszy nie mąciło już nic prócz własnych oddechów, skoczyli na nogi. Ściskali się tańcząc, całowali, tarzali po ziemi, bliscy obłędu z radości większej niż ludzkie serca.

Porucznik pocwałował meldować pułkownikowi o zwycięstwie. Ruszyli za nim, tylko paru pozostało na wzgórzu. Biegli wśród rozradowanych twarzy. Ściskano ich za ręce. Wysoko na szczycie barykady żołnierze podrzucali hełmy w górę, w kłębach dymu, purpurowego od ostatnich promieni słońca.

Przed kwaterą pułkownika gromadziły się tłumy. Żołnierze, cywile, kobiety, chłopcy. Z twarzy ludzkich biła radość. Nikt z obrońców odcinka nie wątpił w tej chwili w zwycięstwo. Wiwatowano, śpiewano pieśń o „dobrym dzielnym wodzu". Za okruch nadziei obrońcy przebaczali szybko i z całego serca. Właśnie przyjechał do pułkownika goniec sztabowy. Za chwilę usłyszą z ust pułkownika potwierdzenie własnych domysłów.

Długo czekali. Zamiast pułkownika wyszedł żołnierz trzymając w jednym ręku rulon papieru a w drugim kubełek z pędzlem. Wahał się chwilę wobec tych twarzy pełnych radosnego oczekiwania, wreszcie pociągnął parę razy pędzlem po ścianie i przylepił górny kraj nierozwiniętego jeszcze rulonu. Zanim rozwinął się do końca, żołnierz zamknął za sobą drzwi. Nie wszyscy zdążyli przeczytać, bo stojący bliżej zerwali go depcząc nogami jak gada.

— Obywatele!

Pułkownik wyszedł wreszcie przed dom. Widzieli tylko parę czerwonych błysków na jego twarzy, bo zapadła tymczasem noc.

— Nasza walka nie była daremna! Po trzech tygodniach bohaterskiej obrony ofiarowano nam honorowe warunki kapitulacji. Nasze miasto otrzymało zaszczytne miano twierdzy, wszyscy jesteście żołnierzami! Najmłodsi z was, kobiety i dzieci!

Milczał długo, wodząc spojrzeniem po barykadzie, po obecnych, po hełmach gorejących na krzyżach blaskami pożaru.

Jan Rojewski

HENRYK LUKREC

SŁOWO O „EPOCE"

(W dziesięciolecie jej zamknięcia)

Niniejsze wspomnienie redaktora naczelnego przedwojennej „Epoki" ukazuje fragment walki z faszyzmem i wojną, prowadzoną w tamtych latach przez postępowy i patriotyczny odłam inteligencji.

W dziesięciolecie Września wspomnienie to stanowi przyczynek do historii zwłaszcza ostatnich lat poprzedzających wybuch wojny.

Czasopismo „Epoka", założone w 1932 r. przez Józefa Wasowskiego i zawieszone po dwóch latach, zostało wznowione w 1936 r. pod rozszerzoną redakcją, przy udziale Wincentego Rzymowskiego i podpisanego.

Były to czasy, kiedy na Europę padł już wydłużony ponury cień Trzeciej Rzeszy i rozlegała się stokrotnym echem wstrząsająca czkawka Germanii, duszącej się śmiertelnie, jak głosili jej wodzowie, z braku „przestrzeni życiowej". Były to czasy, kiedy i u nas obóz majątkowego i rodowego przywileju, wspierany przez osławione rządy premierów Sławka i Sławoja, przechylał się coraz wyraźniej na stronę rzymsko-berlińskiego faszyzmu. Był to także w pełni już ożywiony sezon adoracji szpiegów niemieckich typu rumuńskiego Codreanu, sudeckiego Henleina, słowackiego prałata Tiso, czy belgijskiego Degrelle'a, czczonych u nas publicznie i coraz bezwstydniej. Nadomiar głupcy zaczęli głośno i gromadnie rozprawiać o rzeczach rozumnych.

Pod działaniem niezwykłych wydarzeń i głęboko sięgających zmian politycznych i moralnych — „Epoka" uległa przeobrażeniom ideologicznym. Nawiązała otwarcie do tradycji pisarskich walczącej i rewolucyjnej inteligencji polskiej. Ogłosiła, że kontynuuje działalność, zapoczątkowaną na progu naszego stulecia przez „Głos", „Społeczeństwo", „Ogniwo", i że pod tym samym sztandarem trwać będzie na szańcu Demokracji i Niepodległości przeciwko faszyzmowi.

Z chwiejnych i miałkich stanowisk postępowego mieszczaństwa nastrojonego właściwie pojednawczo i lirycznie wobec obozu „radosnej twórczości" — „Epoka" przeszła na pozycje bojowe z hasłem walki o wolność polityczną Polski, związaną ściśle z ideą społecznego wyzwolenia rzesz pracujących.

Na przełomie lat 1937 i 1938 ten proces krystalizacji ideologicznej dobiegł swego zamkniętego kresu i „Epoka" twardo stanęła na linii frontu ludowego. Co więcej, stała się pierwszym ogniskiem publicystycznym, jednoczącym różne odłamy demokracji polskiej. Równocześnie rozpoczęła „Epoka" jawną, tyleż nierówną, co zaciętą walkę z dwiema odmianami rodzimego faszyzmu: z endecją i sanacją.

W czterech (dosłownie) ścianach redakcji „Epoki" zeszli się i znaleźni wspólny język pisarze i wyraziciele czterech głównych naówczas kierunków politycznych: komuniści, socjaliści, ludowcy i demokraci. Wystarczy przytoczyć nazwiska ówczesnych współpracowników, aby uznać, że „Epoka", będąc redutą walki z faszyzmem i głosząc idee postępu wybiegające w przyszłość, spełniła swe obietnice. Nie jest tedy rzeczą przypadku, a raczej wyrazem zwyczajnej logiki rzeczy, iż spośród publicystów „Epoki" niemal wszyscy z ocalałych znaleźli się po wyzwoleniu na wysuniętych posterunkach w służbie Polski Ludowej. Spośród radykałów i demokratów: prof. Mieczysław Michałowicz, prof. Henryk Ułaszyn, Wincenty Rzymowski, Jan Karol Wende, Wacław Rogowicz, Jan Duchnowski. Spośród ówczesnych współpracowników ludowców: Władysław Kowalski, Czesław Wycech, Tadeusz Rek, Alfred Fiderkiewicz. Spośród komunistów i socjalistów: Wiktor Grosz, Mieczysław Bibrowski, Roman Werfel (pisał pod pseudonimem Roman Lang), Paweł Hoffman (Michał Jordan), Jerzy Borejsza, Leon Kruczkowski, Stefan Matuszewski, Zygmunt Młynarski, (Wincenty Banaś), Jerzy Kornacki, Stanisław Ryszard Dobrowolski, Władysław Bieńkowski, Ignacy Wolski, prof. Zygmunt Szymanowski, dr Tadeusz Stępniewski.

Zmarli po wojnie: prof. Józef Wasowski i Paweł Hulka-Laskowski. Lista męczeńska współpracowników „Epoki" obejmuje nazwiska: Maria Żeromska (rozstrzelana), Mieczysław Niedziałkowski (rozstrzelany w Palmirach), Kazimierz Czapiński (zamordowany w Oświęcimiu), dr Stanisław Więckowski (rozstrzelany w Oświęcimiu), Adam Charszewski (rozstrzelany), Antoni Wieczorkiewicz (rozstrzelany na Pawiaku), Halina Krahelska (zamęczona w Buchenwaldzie). Zmarli pod okupacją: Stefania Sempołowska i Zygmunt Jarosz.

W latach 1938—1939 cała demokracja polska, a wraz z nią i grupa „Epoki", mając przeciw sobie reżim pomajowy, ozon, endecję, wszystkie oenery, falangi, słowem, całe dobrane towarzystwo „nowoczesnego" nacjonalizmu — zwalczać musiała w imię patriotyzmu fatalistyczną niejako wiarę w niepokonany dynamizm Trzeciej Rzeszy. Zwalczać musiała w imię godności narodowej dobrowolne lokajstwo endencji i sanacji, stawiających usłużnie Mussoliniego i Hitlera na piedestale jako panów i kierowników przyszłych losów świata.

Nie piszemy tu historii przedwrześniowego dziesięciolecia, wspominając jednak dzieje „Epoki" wskazać musimy jej stanowisko zasadnicze wobec ówczesnych wydarzeń. „Epoka" ujawniała, kto oddawał Niemcom pozycję za pozycją, czyją to zasługą było, że „wódz wodzów" mógł tryumfalnie kroczyć bez walki od zwycięstwa do zwycięstwa, kto rozsadzał i niweczył każdą próbę stawiania oporu, kto torował drogę pangermańskiemu imperializmowi na Wschód i na Zachód, nad Dunaj i nad Ebro, nad Wełtawę i nad Wisłę, nad Morze Czarne i nad Zatokę Biskajską. To nie fatum i nie mistyczny duch dziejów przywiódł do Mitteleuropy i ułatwił ujarzmienie ludów cywilizowanych przez brunatnych barbarzyńców środkowo-europejskich. Wina leżała po stronie tych, przed którymi „Epoka" ostrzegała bez wytchnienia, wołając niezmordowanie, że faszyzm to wojna, że faszyzm to najazd, że faszyzm to klęska kultury narodowej i kajdany krwawej niewoli. Pod pręgierz stawiała rzeczywistych winowajców podboju i jarzma Europy, tych, którzy zniszczyli wolność, rozbroili własne narody, uśpili czujność społeczeństw, zaszczepili jad hitleryzmu, zgasili wszystkie po kolei światła niezależnej opinii publicznej, narzucili swoim krajom rządy oligarchii.

„Epoka", będąc jednym z bardzo już nielicznych jawnie działających ognisk postępu, wzywała w tym czasie energicznie do walki z rozzuchwalonym żywiołem wstecznictwa, z straszliwą powodzią głupoty i furią upiorów przeszłości, pragnących zniweczyć siły, wymagania i wizje nadchodzącego jutra. Były to już czasy, kiedy minister Sprawiedliwości p. Witold Grabowski skończył edukację u Hansa Franka, przejąwszy się „nowoczesnym" duchem kodeksu praw Trzeciej Rzeszy, zaś generał Kordian Zamorski, niegdyś krakowski artysta-malarz a w tym czasie główny Komendant Policji Państwowej, ukończył również edukację w Berlinie, nauczywszy się u Heinricha Himmlera prawdziwych „sztuk pięknych".

Zagładę cywilizacji zwiastowała wojna przygotowywana pod znakiem pangermanizmu przez Hitlera przeciwko postępowym siłom społecznym wszystkich ludów na kuli ziemskiej.

„Epoka" walcząc z faszyzmem walczyła równocześnie o pokój i zachęcała do zbiorowych wysiłków w tym kierunku inne żywioły postępowe w świecie. W maju 1939 r. redakcja „Epoki" otrzymała zaproszenie na konferencję Międzynarodową, zwołaną przez wybitnych intelektualistów do Paryża, celem rozważenia palących zagadnień ówczesnej chwili i z podkreśleniem, że „tylko zjednoczenie narodów, gotowych do przeciwstawienia się zakusom osi Berlin — Rzym, pozwoli usunąć niebezpieczeństwo zawisłe nad światem". Nie mogąc osobiście wziąć udziału w tej Konferencji i spełnić powinności każdego miłującego wolność pisarza, odpowiedziałem listownie na zaproszenie, zapowiadając wyraźnie, że „gdybyśmy jednak wbrew naszym zjednoczonym wysiłkom zmuszeni zostali przez faszyzm do orężnej obrony niezniszczalnych, drogich każdemu narodowych i ogólnoludzkich wartości — wtedy, w takiej godzinie próby, jak nieraz już w dziejach, znajdziemy się w jednym szeregu!". I znaleźliśmy się zaledwie w kilka miesięcy później. Wprzód jednak, gdy w lipcu tegoż 1939 r. Polska znalazła się oko w oko z siłami przemocy i ogniskowała na sobie uwagę całego świata, uznaliśmy za konieczne, aby opinia narodów o losie Polski była usłyszana u nas. Kierując się tym względem, redakcja „Epoki" rozpisała wielką ankietę, której kwestionariusze — oddzielne dla każdego kraju — opracowane zostały w ten sposób, aby stosunek ich do sprawy Gdańska i pokoju znalazły pełne oświetlenie w wypowiedziach osób zapytanych. Ankieta przesłana została wybitnym politykom, uczonym, pisarzom i artystom bez różnicy sztandaru politycznego, kraju i kontynentu. Niektóre pytania ankiety miały brzmienie następujące:

1. Czy agresja, której przedmiotem mogłaby się stać Polska ze strony Niemiec hitlerowskich, stanowiłaby niebezpieczeństwo dla pokoju świata, a w szczególności dla Pańskiego kraju? Czy kraj Pański jest zainteresowany w okazaniu natychmiastowej pomocy Polsce?
2. Czy odstąpienie Gdańska Niemcom hitlerowskim usunęłoby niebezpieczeństwo agresji? Czy uważa Pan — i czy uważa się w Pańskim kraju — stanowczą postawę i opór Polski za zasługujące na poparcie?
3. Czy dla stworzenia frontu pokoju pakt angielsko-francusko-sowiecki jest pożądany i konieczny? W jaki sposób można by przyśpieszyć zawarcie tego paktu?
4. Czy wzmocnienie demokracji (tak w Polsce jak i gdzie indziej) mogło by, zdaniem Pańskim, powiększyć moralne i materialne siły oporu?
5. Jakich środków należałoby użyć, aby obronić pokój międzynarodowy przed zamachami hitleryzmu i faszyzmu?

Na te i inne pytania ankiety napłynęło mnóstwo odpowiedzi, ale zdążyliśmy wydrukować zaledwie część z Francji i W. Brytanii, między innymi N. D. Pritta, płk. Wedgwooda, prof. Stapledona, Paul Boncoura, Henri de Kérillisa, prof. Cottona, Jeana Zyromskiego, Andrée Viollis, prof. Prenant, a także odpowiedź Zdenka Fierlingera, dzisiejszego wicepremiera, a naówczas ambasadora Czechosłowacji w Mo-

(Dokończenie na stronie siódmej)

KAMPANIA WRZEŚNIOWA

W OCZACH ŻOŁNIERZY

Fragmenty pamiętników żołnierskich nadesłanych na konkurs Domu Wojska Polskiego. Komunikat o wynikach konkursu podamy w jednym z następnych numerów.

Na szosach patrole chwytały szpiegów. Co dzień kilku. Wciąż ktoś widział kogoś rysującego, inny fotografował, inny — najbardziej podejrzany — stał z rękami w kieszeniach. Wreszcie chłopi bali się nas i nie chcieli rozmawiać o wojnie, a ponieważ nikt z nas nie wiedział jak naprawdę pracuje wywiad wojskowy, więc zgodnie z tradycjami powiastek groszowych zatrzymywaliśmy przede wszystkim żebraczki stare, mężczyzn w odprasowanych spodniach i chłopaków w czapkach, zbyt naciągniętych na oczy. A grupę Niemców, uciekających przez zieloną granicę do Prus, przychwycili nie żołnierze tylko właśnie cywil, stary miejscowy rolnik.

Strzelec Kula ostrzył bagnet, bo czytał o Kościuszce, że jego kosynierzy też kosy przed bitwą ostrzyli. Tak wyostrzył, że jego bagnetem temperowałem sobie fasowany ołówek. Broń czyścił co wieczór, a inni śmieli się, że przeglądu nie będzie, a na wojnie lufa nie musi się błyszczeć „jak psu jaja". Byleby muszka mocno siedziała — i amunicji nie brakło. Jednak Kula napewno lepiej oceniał sytuację, bo się przygotowywał do wojny, jak umiał, kiedy inni z niej żartowali.

Pod koniec sierpnia przyjechały nowe oddziały, nie wiedzieliśmy gdzie kwaterują, ale przy umocnieniach widywało się żołnierzy w bardzo nowych, niedopasowanych mundurach, w nowiutkich butach z magazynów MOB, z nową bronią. W kancelarii kompanii złożono duże skrzynie z napisem „sprzęt optyczny", których pilnował specjalny wartownik, ulubieniec dowódcy, pieczeniarz i wazelina. Pilnując skrzyń miał minę człowieka, który mógłby dużo powiedzieć, ale — prawda — regulamin... Rzeczywiście najmniej z nas wszystkich zdziwił się, kiedy któregoś dnia — zdaje się 27 sierpnia — bardzo szybkim lotem wyskoczył zza wzgórz samolot, napisał na niebie, całkiem nisko, — duże D i znikł. I cisza nagła. Oparci na łopatach, z nosami do góry, próbowaliśmy odgadnąć, a czuło się pod sercem niepokój, pewność jakichś zmian, tremę jakby.

— Odtrąbiono. Koniec wojny nerwów. Jedziem do domu, chłopaki! — pokrzykiwał fryzjer Piotrowski i umazany gliną wyłaził z rowu. Brwi miał też zlepione gliną, ślizgał się na oblepionych grubą warstwą podeszwach, sapał. Gwizdki w wielu miejscach naraz podwoiły zdenerwowanie. Samochody przeleciały przez rżyska, przyjechał major — zbiórka!

— Uważajcie. Coś się popsuło. Nasz odcinek ma alarm. Na kwatery nie wracamy, z bronią się nie rozstawać, cekaemy zaraz przyjadą. Oni tak, to i my tak, pan kapitan powie dalej, ja tu jeszcze będę. Obiad smakował?

— Tak jest!

— A wy tam, ściągnijcie wojaku pasek, dobrze? Nie jak lebioda — no tak! Rozejść się!...

Kapitan zacierał ręce i „wychodził z siebie" z radości. Był w hełmie i z nowym Visem. Podekscytowany, szczęśliwy — „nareszcie — mówił — mamy wojnę, mamy ich.

Sprzęt wojenny złożony po kapitulacji

Cholera z tym siedzeniem na d.... koniec, pójdziemy stąd. Kula! Karabin czyść, sprujemy synów, druga kompania ma nowe skrzynki z amunicją, żeby mi się tu kilka tych skrzynek znalazło. Zrozumiano?

— Znajdą się! — odkrzyknął Kula i mrugnął.

Oficerskie pogotowie

...Miasteczko jak miasteczko, jednak po kilku miesiącach postoju na wsi wydaje się nam wręcz małym Paryżem (dwie knajpy, kino, kręgielnia). Poza tym Kraków tuż. Ale jak tu dojechać, kiedy losy wojny zależą od tego, żeby Krakowianie nie wiedzieli gdzie stoi dzielna 10 B. K.

Chociaż dla spragnionych wielkomiejskich rozrywek nic nie wydaje się zbyt trudne. Późnym wieczorem cichaczem wyruszają zakonspirowane ekipy, żeby łazikiem dojechać do krańcowej stacji tramwajów krakowskich. Tam dla zmylenia czujności wroga chowamy berety, a z kieszeni wyciągamy pożyczone od piechoty furażerki. Ponieważ na mundurach spruto nam jeszcze przy mobilizacji proporczyki, wyglądamy niewinnie i udajemy żołnierzy miejscowego garnizonu.

„Alhambra" i „Casanowa" mają nowych bywalców, zwykle pod protektoratem Kaczuszkina, który bez knajpy żyć nie może. Zdarzają się komiczne spotkania. Ponieważ oficerowie dowództwa brygady robią to samo co my i nie wypada im wyciągać konsekwencji, zatem kurtuazyjnie udajemy, że się nie widzimy.

Ja mam jeszcze inne niefortunne spotkanie. Wchodząc z kolegami do jakiejś knajpy słyszę radosny pisk: „Jureczek przyjechał", zygzakiem sunie mocno zalana fordanserka, znajomość jeszcze z Rzeszowa i wita mnie owacyjnie przy gaudium całej sali. Jestem wściekły, bo koledzy kpią ze mnie na funty i gdziekolwiek się pokażę, w adiutanturze, kancelarii czy kasynie, już ktoś wygłupia się falsetem „Jureczek przyjechał".

Ciągle nic nie wiemy. Słuchamy komunikatów polskich i niemieckich, jedni twierdzą, że będzie wojna, inni zakładają się, że nie. Dowódca naszego szwadronu, tak zwany Dyzio ma pogadankę oświatową, na której tłumaczy wojsku: Widzicie, to jest tak, jakby dwóch schowało się, jeden za stodołą a drugi za oborą. To jeden wyjrzy zza rogu, krzyknie „Hu" i schowa się, a potem ten drugi też krzyknie „Hu" i też się schowa. Ja wam mówię chłopcy, że g.... z tego będzie, ale do domów was i tak nie rozpuszczą, bo to się nazywa wojna nerwów. Zrozumieli wszyscy — co?

Są piękne upalne dnie. Nie ma zespołowych ćwiczeń, przycupnęliśmy cicho — konserwacja sprzętu, przeglądy broni, wykłady.

Któregoś dnia tłumy zbierają się przed rozklejonymi obwieszczeniami — ogólna mobilizacja.

Strategia we mgle

Nocą było jeszcze gorzej. Noce były ciemne, że można było iść z równym powodzeniem z zamkniętymi oczami. Trzymało się tylko lewą rękę na plecaku poprzednika i tylko szuranie nóg, poszczękiwanie łopatek i karabinów, skrzyp wozów, czasem parsknięcie konia czy półgłośne przekleństwo mogły posłużyć za domysł, że oto przechodzą tędy całe bataliony i pułki. Wybaczcie, że tak dużo o tym mówię. Nie chodzi o współczucie, ani o to, żeby z naszej wrześniowej kampanii uczynić niepotrzebny koszmar. Koledzy Kleberczycy poświadczą, że mówię prawdę. O żadnych planach strategicznych nie wiedzieliśmy nic, o celu naszej drogi — nic. Ale to jedno wiedzieliśmy, że się chcemy bić! Że chcemy tego z dnia na dzień więcej. Żeby — mówiąc tak po naszemu — dać nareszcie po mordzie komuś za to wszystko, za te zropiałe podeszwy, za te zerwane ścięgna i przygięty do ziemi kark. Za to, że we własnym kraju nocami, lasami tłukliśmy się zaszczuci, zawszeni i głodni. Mówię prawdę, że najbardziej chciałem się bić wtedy, kiedy gorączka dwoiła mi w oczach twarze kolegów i kiedy nocą upadłem w kałużę, żeby pić z niej wodę pachnącą mchem i pleśnią. To było tej nocy, kiedy zastrzelił się elegancki do ostatka porucznik Skąpski. Nie mógł iść dalej, a nie chciał zostać. I tej samej nocy kilkaset metrów w bok od maszerującej kolumny zaterkotał puszczony na ślepo erkaem, zranił kilku naszych i uciekł, i nie wiadomo było, kto naciskał język spustowy... Za dnia dochodziło znowu staranie się o żywność. Artyleria, która niewiadomo skąd się w naszej kolumnie wzięła, trochę konnicy, taczanki, saperzy — wszędzie byli przed nami. Przychodziliśmy zawsze do wsi, objedzonych już do cna. Wsie tam przecież biedniutkie, malutkie, kuchnie zaś nasze gubiły się ciągle, nie było ich nieraz po parę dni. Jak był dzień gorący to nawet wody w studniach potrafiło zabraknąć, albo była tak zamieszana, zmętniała, gęsta od błota, że i konie jej pić nie chciały. To był referat Józka; wyrywał cebulę z ogródków przed chatami; ze słomianych beczek w szopach wybierał ulęgałki. Raz — kiedy postój był dłuższy — przyniósł kurę, oskubaliśmy ją i zanieśli do baby, żeby ugotowała. Może to nawet była jej własna kura. Ucztę mieliśmy niesłychaną, parzyliśmy sobie usta gorącymi ziemniakami, kolumna już znowu szła dalej, połowę kury wzięliśmy zawiniętą w liście chrzanu do chlebaka. Kiedy indziej kupił gdzieś Józek pół kilo cukru i całe pół kilo zjedliśmy zamiast obiadu. Konserw naszych nie było widać, suchary dawało się zawsze wyżebrać w taborze albo wycyganić za „Junaki", stanowiące naszą kasę. Najczęściej zaś piekliśmy w popiele kartofle i marchew, bo te jeszcze były na polu, a zagryzaliśmy przejrzałymi ogórkami, gorzkimi ze starości, co leżały jeszcze pod pożółkłymi liśćmi. I marsz — dniem i nocą, zwłaszcza nocą, marsz, który we wspomnieniach z września przesłania mi wszystko inne i na myśl o którym nogi znowu bolą, pić się chce, że językiem obrócić nie można i słyszę przerażony głos letniczki, co w pewnej wiosce podarowała mi szmaty na nowe onuce: jak Pan może na takich nogach chodzić? Płakała, a mnie było z tego powodu bardzo przyjemnie i odchodząc ukradłem jej nóż, bo mój scyzoryk zardzewiał i był do niczego. Ale były oczywiście i wydarzenia. Była wojna.

Plac Krasińskich po bombardowaniu

Czuwanie

Nie rozumiałem z tego nic, dlatego było tak ciężko. Znowu parę strzałów, w innej stronie. A potem łuna płonącej wsi.

— Od mojej wioski do Prus licha wiorsta. W tamte wojne byłem chłopakiem, jak się tam Moskale z Niemcami bili...

— Ciszej!... Co jest?

Dwa strzały padły zupełnie blisko, po tamtej stronie kanału. Mrok naokół nas stał się nagle pełen groźnych tajemnic i przestał nas ukrywać. Coś się w nim przecież dzieje!

— No i co? — pytał mnie Józek, bo wobec mnie nie musiał udawać wodza, któremu decyzja przychodzi zawsze błyskawicznie i zawsze najlepsza.

— Wyślemy patrol?

— Na tamtą stronę — nie. Mamy czekać na rakietę.

— Obudź tamtych pod krzakiem.

Sprawdziłem karabin, ale co on by mi tu pomógł w takim mroku? Przeciwny brzeg kanału ledwie było widać, a i to dzięki temu, że woda błyszczała lekkim blaszanym połyskiem. Gdzieś szczekały psy, turkotał jakiś wóz, nawet ludzkie głosy po wodzie było słychać ale z bardzo, bardzo daleka.

Wtedy się bałem. Dlatego pamiętam tak dokładnie tę placówkę nad kanałem, że prawdziwy, bezapelacyjny strach o życie poczułem tam właśnie. I nawet wydaje mi się, że później już nigdy nie było tak ciężko utrzymać na wodzy swe nerwy, nawet wtedy, kiedy siedziałem zamknięty wraz z setką towarzyszy w bydlęcym wagonie, a wagon stał na dworcu w środku dużego miasta niemieckiego i akurat ten dworzec był celem potężnego nocnego nalotu aliantów. Podskakiwaliśmy tylko za każdym wybuchem, nieruchomi, bezsilni, czekając na następny błysk i następny rozsadzający czaszkę huk.

(Dokończenie na stronie siódmej)

W PRZEŻYCIACH ÓWCZESNEGO PREMIERA

STRATEGIA METEOROLOGICZNA

31 sierpnia 1939 r. Czwartek.

Na Zachodzie ciągle w wojnę jeszcze nie chcą wierzyć, czemu się nie dziwię, bo i my czepiamy się ostatnich desek nadziei na zachowanie pokoju. Niemcy są już aż nadto przygotowani do wojny, natomiast alianci i my wykorzystujemy każdą godzinę nieledwie, by się dozbroić zmobilizować nasze siły i przeprowadzić wygodne dla nas ugrupowania wojska. Wreszcie, co bardzo ważne, liczymy na pomoc naszego klimatu. Po wrześniu zaczynają się, przy stałym zachmurzeniu nieba, deszcze jesienne, dające utrudnienia dla pracy lotnictwa i czołgów, których my, właśnie, mamy mało.

Dałby, więc Pan Bóg deszcz! Na razie, niestety pogoda jest piękna, jak w lipcu.

NASZ WÓDZ — MARSZAŁEK ŚMIGŁY RYDZ

Warszawa, 2 września 1939 r. Sobota.

Przed południem wyjeżdżam do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do wsi Błotna. Kompania przyboczna strzeże dojścia do willi, której okolice były dziś rano bombardowane przez samoloty niemieckie, gdyż leży ona w pobliżu zapasowego drewnianego mostu przez Wisłę, zbudowanego pod Wilanowem, który widocznie Niemcy starali się zniszczyć — zresztą bezskutecznie.

Melduję Panu Prezydentowi sytuację w kraju i zagraniczną oraz uzyskuję kilka podpisów na Dekretach personalnych nominacji urzędników, po czym wracam po spokojnej drodze do Warszawy.

Jadę jeszcze do Kwatery Głównej uzgodnić moją mowę z marszałkiem Śmigłym. Jest spokój na mieście. Niestety, około godziny 14-tej, gdy wyjeżdżam do Sejmu, zaczyna się bombardowanie lotnicze i to wyraźnie okolic Sejmu. Sprawia to wrażenie, że Niemcy poinformowani są o posiedzeniu. Postanawiamy z marszałkami Makowskim i Miedzińskim odbyć posiedzenie punktualnie, mimo bombardowania i o godzinie 14.30 Rząd i Prezesi Najwyższej Izby Kontroli, Najwyższego Trybunału Administracyjnego i Najwyższego Sądu zajmują swe miejsca w sali Sejmu, wobec pełnego kompletu posłów.

Huk bomb, wybuchających w okolicach Sejmu sprawia wrażenie, że za chwilę szklany dach runie na zebranych, co oczywista sprawiłoby pewne zamieszanie w sprawach państwowych, nie mówiąc już o osobistych. Marszałek Makowski udziela mi głosu i odczytuję moją mowę, w imieniu Rządu...

Zwyciężymy w tej wojnie, gdyż nauczył nas Józef Piłsudski jak zdobywać wolność i jak jej bronić. Zwyciężymy, gdyż dowodzi nami następca i uczeń Józefa Piłsudskiego, Marszałek Śmigły Rydz. Zwyciężymy, gdyż mamy potężnych sprzymierzeńców.

Mowa, mimo że odczytana, sprawiła dobre wrażenie.

SYTUACJA BOJOWA ZŁA — POLITYCZNA DOSKONAŁA

3 września 1939 r. Niedziela.

Marszałek Śmigły zawiadomił mnie dalej, iż wobec postępu Niemców, należy przygotować ewakuację urzędów za Wisłę, na prawy jej brzeg, gdyż marszałek przewiduje opór Wojsk Polskich na linii rzeki Wisły.

Wróciwszy do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, oddałem techniczną stronę przygotowań dekretów nominacyjnych dla dwóch nowych ministrów w ręce wicemin. Brzozowskiego.

Rozpoczęliśmy w Prezydium Rady Ministrów i Ministerstwie Spraw Wewnętrznych palenie wszystkich, niezbędnych w czasie pokoju, a obecnie zbytecznych papierów z lat ubiegłych. Dym i płaty spalonego papieru wydobywały się odtąd, przez kilka dni ze wszystkich kominów Ministerstwa, wskazując ludności Warszawy, że coś nie jest w porządku z urzędami, gdy palą tyle papieru. Był to pierwszy objaw ewakuacji, a więc złej sytuacji bojowej.

Na tle tych smutnych przygotowań zajaśniał radosny fakt, że Anglia i Francja, po upłynięciu 48 godzin ich ultimatum, wypowiedziały wojnę Niemcom.

Dzisiaj, o godzinie 11-tej rano, premier angielski Chamberlain wygłosił mowę do narodów, w której powiedział między innymi: „My, razem z Francją, mamy wypełnić nasze zobowiązanie, przychodząc z pomocą Polsce, która tak dzielnie opiera się temu złemu i niesprowokowanemu atakowi na swój naród".

Odetchnęliśmy z ulgą. Przynajmniej, jak mówili Czesi: „Nie jesteśmy sami".

STRATEGIA HYDROGRAFICZNA

Warszawa, 4 września 1939 r. Poniedziałek.

Dzisiaj zostały już zagrożone przez oddziały pancerne niemieckie, Łódź i Kielce.

Liczymy jednak, że czołgi zatrzymane zostaną na linii rzeki Wisły, która choć niestety w tej chwili bardzo płytka, jest dla nich dużą przeszkodą.

PEWNA PANI POWIEDZIAŁA

Warszawa, 5 września 1939 r. Wtorek.

Korpus dyplomatyczny wyjechał dzisiaj do Kazimierza n/Wisłą i do Nałęczowa, w myśl planu ewakuacyjnego. Na dachach samochodów dyplomatów rozłożone zostały chorągwie odnośnych państw neutralnych, celem ochrony przed bombardowaniem.

Jak dotychczas, nie mamy objawów, tak gorąco oczekiwanej pomocy Aliantów, chociażby lotniczej, ale mamy nadzieję, że za parę dni pomoc ta nastąpi. Robimy w tym kierunku nieustające zabiegi na drodze wojskowej i dyplomatycznej.

Wszycy pragną bombardowania Berlina w odwet za bombardowanie Warszawy i tylu innych miast polskich. Dzisiejsze wiadomości, iż bombardowanie Berlina przez lotnictwo sprzymierzonych odbyło się tej nocy, okazały się niestety nieprawdziwe.

STRATEGIA WIARY

Wieczorem wyjechaliśmy drogą nad Wisłą, idącą do Falenicy, z wicepremierem Kwiatkowskim, by zameldować się u Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, celem poinformowania Go o sytuacji wojennej, w kraju i za granicą. W okolicy willi patrolowała już warszawska konna policja. Do Błot jechaliśmy szybko, gdyż było jeszcze dosyć widno. Pan Prezydent na nasze przedstawienia podjął decyzję wyjazdu jutro nad ranem do państwowego majątku leśnego, leżącego pod Lublinem. Jest pełen otuchy i wiary w zwycięstwo naszej słusznej sprawy, mimo ciężkich okoliczności, w których się znajdujemy i będziemy się jeszcze znajdować.

W DROGĘ

Warszawa, 6 września 1939 r. Środa.

Rząd, tej nocy ma przenieść się do Łucka. Melduję Marszałkowi o konieczności wydania odezwy do ludności stolicy, przy opuszczeniu jej przez rząd. Zgadzamy się, że odezwa ta ma być krótka i bez szumnych zwrotów. Opróżniam moje biurko i kasę ogniotrwałą. Część papierów palę, resztę zabieram ze sobą, kasę zamykam i zabieram klucze, choć jest pusta. Do walizki zabieram tylko ubrania wojskowe, gdyż ubiory cywilne nie przydadzą się na nic w ciężkich warunkach wojny, które nas czekają.

PORTRET KOMENDANTA I URLOP

Warszawa, 7 wrzesień 1939 r. Czwartek.

Teraz koło godziny drugiej w nocy, nadchodzi chwila opuszczenia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Rzucam ostatnie spojrzenie na portret Komendanta i schodzę na dziedziniec.

W Mińsku Mazowieckim, szofer Prezydium, Andrzejewski, pyta czy nie mógłby wstąpić do żony, która mieszka w pobliżu, by zostawić jej pieniądze. Odmawiam, ze względu na konieczność szybkiego osiągnięcia Łucka, ale obiecuję mu dać krótki urlop, za kilka dni, gdy ustali się sytuacja na rzece Wiśle.

STRATEGIA WIARY

Wojewoda Hauke-Nowak zawiadamia, że 6.IX wojska francuskie przekroczyły granicę niemiecką. Może to więc odciąży naszą obronę rzeki — Wisły.

PLANOWANIE PAŃSTWOWE

Łuck, 8 września 1939 r. Piątek.

Połączyłem się telefonicznie ze wszystkimi ministerstwami, urzędującymi w Łucku, Lublinie i Równem, prosząc, by przygotowali na następną Radę Ministrów, która odbędzie się za parę dni, — plan pracy i najpilniejsze potrzeby swego resortu, w związku ze zmianą miejsca pobytu i zmniejszeniem naszego terytorium wolnego od Niemców. Pan Prezydent Rzeczypospolitej przyjechał już do Ołyki i mieszka w zamku księcia Radziwiłła.

W Łucku zaczniemy wydawać czasopismo naświetlające sytuację wojenną i pracę Rządu.

SZCZEGÓŁY PROTOKULARNE

Łuck, 9 września 1939 r. Sobota.

Przed południem wyjeżdżamy z wicepremierem Kwiatkowskim do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej do Ołyki. Pan Prezydent m i e s z k a w p r a w y m s k r z y d l e z a m k u. Przyjmuje nas gen. Szally i prowadzi do gabinetu Pana Prezydenta. Przedstawiliśmy sytuację polityczną, a raczej wojenną i gospodarczą.

Pan Prezydent jest zmęczony, ale pełen otuchy, że utrzymamy się na linii Wisły aż do udzielenia pomocy przez Sprzymierzonych.

NA ODSIECZ IDZIE KANADA

Łuck, 11 września 1939 r. Poniedziałek.

Jest wiadomość, że Kanada weszła do wojny.

NASI SPRZYMIERZEŃCY

Wobec ciężkiej sytuacji wojennej, marszałek zwrócił się osobiście o rychłą pomoc do gen. Gamelin, wodza naczelnego Francji i otrzymał odpowiedź, że w tej chwili jest to jeszcze niemożliwe i, że większa pomoc nastąpi dopiero za jakiś czas. Po prostu Francuzi są sterroryzowani potęgą pancerną i lotniczą Niemiec, i ociągają się z rozpoczęciem większych działań wojennych. Gamelin odmówił nawet szybkiej pomocy lotniczej.

Umiał on, jeszcze 28 sierpnia tego roku przysłać „przyjacielską" radę Marszałkowi Śmigłemu, by karać bardzo łagodnie Niemców za wykroczenia nadgraniczne, bo szkoda wywoływać wojny z powodu tak „drobnych" spraw. Tak radzić jest łatwiej, niż pomóc.

SESJA FINANSOWA

Łuck, 12 września 1939 r. Wtorek.

Dzisiaj, ranne bombardowanie nie było dokuczliwe, za to po południu zaczęły fruwać bomby niemieckie na lotnisku i obok leżącego przy nim domu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Gdy zobaczyłem, ile samolotów lata nad Ministerstwem postanowiłem przenieść miejsce posiedzenia Rady Ministrów, która miała się tu odbyć do Prezydium Rady Ministrów.

W czasie posiedzenia bomby padały tak blisko, że sala chwiała się, jak pokład okrętu na wzburzonym morzu.

Celem spokojnego obradowania zeszliśmy wreszcie do pokoju parterowego, gdzie było zaciszniej. Porządek dzienny był obfity. Przede wszystkim ministrowie uzgadniali plan swych prac w nowych warunkach istnienia naszego Państwa.

Min. Komunikacji Ulrych i Poczt Kaliński mają więcej i to nagłej roboty niż w czasach normalnych, toteż potrzebują kredytów dodatkowych. Min. Spraw Zagranicznych — Beck, Spraw Wojskowych — Kasprzycki i Opieki Społecznej — Kościałkowski również muszą zwiększyć pracę, a więc i budżety swych resortów. Duże sumy w resorcie Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej idą obecnie na doraźną pomoc dla uchodźców z zachodniej i środkowej części Polski, wypłacaną przez odnośne urzędy oraz instytucje samorządowe. Ma z tym dużo pracy min. Kościałkowski, wicemin. Piestrzycki i wicemin. Garbusiński.

Pozostali ministrowie: Oświaty Świętosławski, Sprawiedliwości Grabowski, Handlu Roman i Rolnictwa Poniatowski mają mniejszy zakres pracy, niż czasu pokoju, chcą ją jednak pogłębić i zbliżyć do realnych potrzeb życia, wobec czego zachowują wysokość swej budżetowej racji miesięcznej.

ODSIECZ SYRII

Łuck, 12 września 1939 r. Wtorek.

Sytuacja nie jest na ogół różowa, ale wierzymy w możliwość dalszego oporu przeciw Niemcom, po zagęszczeniu wojsk w widłach Dniestru i Stryja, oraz stworzeniu szeregu punktów oporu w miastach Polski, które okazały się dobrą przeszkodą dla czołgów.

Broniąc się w oparciu o Węgry i Rumunię będziemy żądać niezwłocznej pomocy lotniczej Aliantów, aż do powrotu naszych 500 lotników, których wysyłamy po aparaty do Syrii.

„BOJKOT GOSPODARCZY — OWSZEM"

Kossów, 16 września 1939 r. Sobota.

Wkrótce po wyjeździe wojewody Raczkiewicza wysyłam w świat adwokata z Krakowa, posła Schwarzbarta, by wśród Żydów zagranicznych poruszył sprawę zaatakowania nas przez Hitlera i niebezpieczeństwa grożącego, między innymi Żydom polskim, oraz potrzebę natychmiastowej pomocy. Przyrzeka pracować zagranicą dla wspólnej sprawy ze wszystkich sił.

JAN ŚPIEWAK

SPRAWA SATYRY

Wśród wielu ważnych i aktualnych zagadnień z dziedziny sztuki i literatury z pola widzenia teoretyków i polityków uszła sprawa, którą krytycy nasi, jak dotychczas pomijają zgodnym milczeniem.

Sprawa satyry, tej wypróbowanej broni, którą posługiwano się zawsze w okresach przełomowych, w okresach burzenia form jednej gospodarki i tworzenia innej, w okresie rosnących przeciwieństw klasowych — jak na razie obchodzi tylko nieliczną grupę pisarzy. A przecież zawsze przodujące koła literacko-artystyczne jako awangardę wysyłały satyrę, aby ostrzem ironii i bezlitosnym śmiechem podważała przeżywające się tradycje literackie i filozoficzne i aby na miejscu poprzednich wprowadzała świadomie dojrzalsze formy świadomości społecznej. Taka satyra wyprzedziła rewolucję francuską, taka satyra szła zawsze w pierwszej linii wszystkich wyzwoleńczych walk. Przygotowywała grunt dla wielkich reform socjalnych, godziła w najczulsze strony przeciwnika, stawała się zwiastunem nowych prądów literackich.

Krytyk radziecki A. Ostrowski w przedmowie swojej do książki „Epigramat i Satyra" („Z historii walk literackich XIX wieku") tak określa charakter i funkcję satyry:

„Życie satyry tak różnorodnej pod względem form, określa się nie tylko jej rolą w procesach ściśle literackich, ale i w specyficznym jej stosunku do faktów życiowych, jej zdolnością przyswajania i wyceniania rzeczywistości społecznej. Skierowanie satyry na praktyczność, jej orientacja na „morale", na obyczaj, oddzielają satyrę od rodzajów czysto artystycznych (nawet i w tych wypadkach, kiedy satyra naśladuje je, używając ich dla swoich celów) i przybliżają ją do rodzajów literackich dydaktycznych. Satyra powstająca w swojej istocie z pierwiastka aktywności i woli nabiera szczególnej ważności w okresach społecznych przełomów, nasilenia walki klasowej".

„Literackie funkcje satyry są tyleż różnorodne, co i jej formy. W procesie walk literackich satyra odgrywa rolę fermentu przyśpieszającego i zaostrzającego dialektykę procesu. Epigramat skierowany przeciwko literackiemu wrogowi bywa często skuteczniejszy od długiego artykułu krytycznego. Rozkwit satyry literackiej prawie zawsze wskazuje na intensywność życia literackiego w ogóle".

Rzeczywiście, nie wyobrażam sobie prawdziwego rozwoju życia literackiego bez rozwoju satyry we wszystkich jej formach.

Dlatego też rodzą się pytania, na które trzeba dać odpowiedź. Jak wytłumaczyć, że po wojnie pisma literackie bagatelizują ten rodzaj literacki? Dlaczego dotychczas nie ukazał się żaden artykuł ogólny na temat satyry? Dlaczego stosunkowo mało pisarzy uprawia satyrę? Dlaczego wydawnictwa satyryczne są na ogół przemilczane albo w każdym razie traktowane z mniejszą powagą aniżeli inne utwory? I dlaczego z drugiej strony satyra nasza po wojnie nie tylko potrafiła stać się awangardą literacką, ale sama znalazła się w ślepym zaułku, z którego jak najprędzej musi się wydobyć? Czy jest to wina tylko pisarzy uprawiających ten rodzaj, czy też może ważność i specyficzność procesów, jakie zaszły w naszym życiu sprawia, że bez szerokiej teoretycznej dyskusji trudno jest jej znaleźć właściwą drogę?

O DROGACH BITYCH

Na brak dróg bitych w Rosji
[narzekają Niemcy,
że dróg brakiem się broni ta Rosja
[zdradziecka,
Sądzę, że Rosji bitych dróg nie trzeba
[więcej,
Bo, zamiast dróg, jest bita wciąż
[armia niemiecka.

Tomasz Wiatraczny (Tad. Hollender)
„Demokrata" 1943 r. „Moskit" 1943 r.

Zdawałoby się, że kongres satyryków, który odbył się parę miesięcy temu, echa dyskusji i referatów kongresu, w jakiś sposób sprawę popchną naprzód, że ktoś, gdzieś się odezwie, tymczasem milczenie trwa nadal. A sprawa jest ważna, niezmiernie pilna. Nie jest rzeczą przypadku, że w Związku Radzieckim, zwłaszcza w ostatnich czasach, na satyrę zwrócono baczną uwagę, domagając się od wydawnictw i od prasy jak najszerszego uwzględnienia tego rodzaju. Zarzucając wydawnictwom, że za mało wydają książek satyryczno-humorystycznych, że stosunkowo mało pisarzy uprawia ten

Rys. Cyk. (Maks Kałużny)
„Demokrata" 25. VIII. 1943 r.

rodzaj, podkreślono tym samym wagę całego zagadnienia. A przecież w Związku Radzieckim zawsze posługiwano się tą bronią. Od Majakowskiego poczynając większość poetów uprawiała i uprawia satyrę. W okresie wojny domowej, przebudowy kraju, a tym bardziej w czasie ostatniej wojny, antyfaszystowskie wiersze, fraszki, felietony i karykatury mobilizowały ludność do walki z okupantem, ośmieszały nadęty aparat wroga, budząc optymizm i wiarę w zwycięstwo. Znakomite felietony Erenburga raziły wroga jak kule.

A u nas jaki charakter w tym czasie miała satyra?

Okupacja była i dla literatury wielką próbą. W obliczu śmierci i codziennego niebezpieczeństwa satyra nasza jak nigdy nabrała wyrazu i bojowości. Wyszła z kręgu ciasnych kawiarniano - literackich zagadnień i mając szerokie oparcie w niewyczerpanej pomysłowości całego niemal narodu, stała się bronią jak najbardziej celną, którą biła w niemiecką propagandę i systematycznie podważała pseudoautorytet niemieckiego żołdactwa. Ale z drugiej strony terror okupacji wyrwał z szeregów satyryków co najzdolniejsze talenty. Zginęli i zmarli równocześnie w tym czasie przedstawiciele trzech pokoleń od Boya i Nowaczyńskiego poprzez Paczkowskiego aż po Hollendra, Ginczankę i innych. Utrata trzydziestu paru wybitnych talentów, to wyrwa, którą nie tak łatwo da się uzupełnić. Trzydzieści parę talentów nie wyrośnie od razu, na zawołanie, zwłaszcza, że młode pokolenie literackie po wojnie nie ma za sobą tak gruntownej tradycji literackiej, jak starsze. Po wojnie właściwie działają niedobitki okresu poprzedniego, niedobitki wprawdzie utalentowane, które jednak tak pod względem kulturalnym jak i artystycznym wychowały się w okresie międzywojennym. Nowych talentów pojawiło się zbyt mało.

Pierwsze lata nowej niepodległości to montowanie szerokiego frontu do walki z obskurantyzmem. Stawili się niemal wszyscy satyrycy i każdy po swojemu próbował walczyć o sprawy postępu. Stawili się nawet ci, którym dotychczas tak właśnie pojęta satyra nigdy się nie śniła. Pojawiły się pisma satyryczne, najpierw „Stańczyk", a potem „Szpilki", skupiające większość piszących. „Kocynder", a zwłaszcza „Rózgi" nieudolnie redagowane okazały się krótkotrwałymi efemerydami. Zaczęły się pojawiać nowe książki. Po wojnie wydał tom satyr Janusz Minkiewicz: „Kazania i skargi", tom będący raczej przedrukiem przedwojennej jego książki „Nic świętego", rozszerzonej kilkoma tzw. aktualnymi utworami. Tom satyr wydał Artur Maria Swinarski: „Pamflety i paradoksy". Książka ta zawiera też w zasadzie przedwojenne utwory. Stanisław Jerzy Lec wydał dwie książki. Pierwsza „Spacer cynika" to zbiór przedwojennych utworów i „Życie jest fraszką", będący zbiorem napisanym po wojnie. Leon Pasternak wydał również dwie książki: „Rzeź niewiniątek", utwory pisane przed wojną, w czasie wojny i po wojnie, oraz „Zasady i kwasy", utwory powojenne. Konstanty Ildefons Gałczyński wydał dwie książki „Wiersze wybrane", zawierające utwory pisane przed wojną i w czasie wojny i „Zaczarowana dorożka", wiersze pisane po wojnie. Jan Brzechwa wydał zbiór powojennych wierszy „Palcem w bucie", Włodzimierz Słobodnik, zbiór pt. „Poufne" — utwory powojenne, Józef Prutkowski wydał zbiór powojennych wierszy pt. „Cicha lipa", również Tadeusz Różewicz wydał tom satyr pisanych po wojnie.

Z prozy satyrycznej wydali: Jan Huszcza: trzy książki — dwa tomy satyrycznych felietonów: „Łbem o ścianę" i „Impertynencje" oraz powieść satyryczną „Miasteczko nad Olszanką". Wszystkie te utwory powstały po wojnie. Władysław Smólski wydał tom satyryczny felietonów „Drewniana koszula", pisane po wojnie. Magdalena Samozwaniec tom felietonów „Tylko dla kobiet". Jeśli dodać do tego kilka broszur Bohdana Brzezińskiego i paru innych pisarzy podpisujących się pseudonimem „Pan X", „Niekrasiński", lub opracowujących humor z czasów okupacji jak Strumph-Wojtkiewicz, Grzegorz Załęski, albo Dzikowski, — to obraz dorobku satyry po wojnie będzie niemalże pełny, oczywiście nie licząc książek złożonych do wydawnictw jak Juliana Tuwima uzupełnione wydanie „Jarmark rymów" oraz utworów rozsianych po rozmaitych pismach i periodykach.

Jak widać z przytoczonych nazwisk i tytułów, plon jest niezbyt obfity. Tworzą w zasadzie pisarze wyrośli w atmosferze tzw. czasów międzywojennych. Tkwiąc w literackiej tradycji i umysłowości tych czasów, pozostali z małymi wyjątkami na poprzednich pozycjach literackich, co też fatalnie zaciążyło na rozwoju satyry powojennej w ogóle.

Nowe, całkowicie zmienione społeczno - polityczne warunki wymagały nie tylko zmiany tematyki, ale też całkowitej zmiany funkcji samej satyry. Zmienił się jej cel, jej założenie, zmienili się odbiorcy. Szczupłe szeregi satyryków musiały się przeszeregować. Postępowi satyrycy z okresu przedwojennego, będący w opozycji do ówczesnego ustroju, w nowych warunkach musieli stać się satyrykami, walczącymi z przeżytkami starego ustroju. Inni — stojący przed wojną na różnych politycznych i literackich pozycjach, po wojnie znaleźli się w jednym szeregu. Satyrycy skupieni w pierwszych latach po wojnie zaczynają się znowu różnicować. Poprzednie nawyki literackie, tradycje satyry mieszczańskiej wywodzącej się ze swoistej kawiarnianej atmosfery, z charakterystycznymi smaczkami piosenkarsko-kalamburowymi doprowadzają do wyjałowienia formalnego i w wielu wypadkach stają się nie do przyjęcia dla nowego odbiorcy. Czego innego oczekiwał i oczekuje nowy masowy odbiorca książek i pism wydawanych po wojnie, niż mieszczański przedwojenny czytelnik. Stąd też rodzi się i coraz bardziej pogłębia konflikt.

Parkany warszawskie w czasie okupacji

Satyra nasza zamiast stać się awangardą wielkich przemian społecznych, z małymi wyjątkami wybrała sobie łatwe i wygodne ścieżki. Nazbyt mało wykazała odwagi, niepokoju twórczego i rewolucyjności, pomimo pojedynczych bezsprzecznie wartościowych utworów, jakie powstały w tym czasie. A przecież wartościowych utworów satyrycznych po wojnie powstało nie mało i odegrały one poważną rolę w naszym życiu literackim. Wymieńmy dla przykładu tego rodzaju nazwiska jak Lec, Gałczyński, Świnarski, Pasternak, Minkiewicz, Brzechwa, Słobodnik i inni. Satyra ich odznacza się wysokim artystycznym poziomem a skala tematyczna ich utworów jest dość rozpięta. I jeśli porównać poziom satyry ze współczesną liryką, może okazałoby się, że pomimo wszystkich zastrzeżeń właśnie satyra wykazuje więcej żywotności. A mimo wszystko sprawa pozostaje otwarta.

Ażeby jaśniej uświadomić sobie zalety i wady naszej współczesnej satyry i zobiektywizować swój sąd należałoby cofnąć się do krytycznej analizy satyry w poprzednich okresach. Wiele ciekawego porównawczego materiału moglibyśmy znaleźć w rozprawie „Rosyjska satyra w okresie Katarzyny" Dobrolubowa, wielkiego krytyka z połowy zeszłego stulecia. Zastanawiając się nad ówczesną satyrą krytyk ten widzi jej zasadniczą słabość w niezdecydowanej postawie ideologicznej. Rozwijając się w okresie postępowych reform, wlokła się ona zawsze za rozporządzeniami płynącymi z góry, dając się im wyprzedzić. Nie dotykała korzeni zła, dostrzegając tylko gdzie niegdzie pewne przerosty biurokratyczne. Nie była nigdy satyrą ustrojową. Atakowała tylko wady, walczyła tylko z tym, co i bez niej likwidowała Katarzyna. Z tego też powodu satyra nie mogła posunąć sprawy reform naprzód, nie potrafiła dojrzeć wielu rzeczy niezwykle istotnych tak politycznego jak i obyczajowego charakteru. Nie potrafiła wyciągnąć wniosków z obserwacji, nie potrafiła przewidzieć zawczasu i dostrzec niebezpieczeństwa, zanim rozporządzenie z góry w ten lub inny sposób nie zlikwidowało go. Nie miała perspektywy, nie patrzyła naprzód, widząc tylko to, co było słabe i co samo już ustępowało. Naiwnie ufała, że postęp zależy tylko i jedynie od uczciwości poszczególnych urzędników. Z tego też powodu ciężar satyrycznych wypowiedzi był zbyt mały. I chociaż literatura rosyjska, jak pisze Dobrolubow, zaczęła się od satyry, rozwijała się przez satyrę i opiera się na niej, satyra nie przedstawiała prawdziwej konieczności dla społeczeństwa, będąc czymś ubocznym, zbytkiem, zabawą a w każdym razie nie istotnym zagadnieniem. Nie przyjęła się w narodzie, ponieważ nie została wypracowana przez życie norodu.

Oczywiście tezy Dobrolubowa mają dla nas tylko przenośny, pouczający charakter i nie wszystkie dadzą się przystosować do naszej rzeczywistości.

Celem satyry naszej nie jest walka z ustrojem tylko dopomaganie mu w walce z wszelkiego rodzaju obskurantyzmem, dostrzeganie tego, co już obumiera, a nie chce ustąpić nowym, postępowym formom życia. Zdolność dostrzegania obumierających form życia właściwa była zresztą wszystkim wielkim dziełom satyrycznym jak np. „Don Kichot" Cervantesa, albo „Rodzina Gołowliowów" Sałtykowa - Szczedrina. Tylko że obecnie to satyryczne widzenie rzeczywistości musi być szczególnie wyostrzone. **Dopiero bowiem w widzeniu kontrastów klasowych zawiera się prawdziwa siła satyry.** Ale po to, ażeby je dostrzec, trzeba poznać życie tych warstw społecznych, które wkraczają wielkim krokiem na teren życia publicznego. A tymczasem satyra nasza na ogół wykazała duże niezdecydowanie. Nie potrafiła wyprzedzić wielkich reform, jakie zmieniły i zmieniają nasze życie. Wlokąc się w ogonie wielkich wydarzeń, zaplątana w stylistycznych smaczkach, sprawia nadal wrażenie przedwojennej liberalizującej mieszczańskiej satyry, oderwanej na ogół od najistotniejszych zagadnień życia. Niezdecydowane oblicze naszej satyry dezorientuje czytelnika. Wiemy z historii, że satyra wtedy spełniała swoją rolę, kiedy czytelnik doskonale sobie uświadomił pozycję satyrycznego skoku i kierunek wystrzału. Jeżeli pozycja, na której znajduje się satyryk i cel, w którym ma trafić jego satyra nie są dość jasne, wtedy zostaje podważona istota samej satyry. Satyra, która nie uderza w przeciwnika, która nie chce czegoś zmienić, przestając być walczącą, wcześniej lub później siłą rzeczy musi stoczyć się w dowcipomanię, zamkniętą w ciasnym i bezdusznym kręgu osobistych porachunków i plotek zawodowo-kawiarnianych. A przecież i my możemy śmiało powiedzieć, że literatura polska zaczęła się od satyry, opierała się na satyrze i w znacznej sferze rozwijała się poprzez satyrę. Tylko że w okresach swego rozkwitu i postępu satyra miała rzeczywiście określoną funkcję i określone znaczenie. Wpływała na życie polityczne i obyczajowe, była zasadniczą bronią w ogniu dyskusji politycznych i religijnych, stając się prekursorem nowych prądów.

Niezdecydowany i chwiejny charakter naszej satyry wynika z jej zbyt małej ideowości, z jej nazbyt szczupłego bagażu intelektualnego.

Tradycje historyczne naszej satyry zawsze były realistyczne, polityczne i obyczajowe. Realizm wymagał obserwacji, dokładnej znajomości faktów. Tymczasem większość utworów satyrycznych powstałych po wojnie nie mogła się zdobyć na szerszy obstrzał pozycji przeciwników. Była to albo antyhitlerowska satyra, w czym na ogół wszyscy satyrycy są zgodni, albo też satyra polegająca na ośmieszaniu takich lub innych elementów obskurantyzmu w kraju lub za granicą. W tym wypadku następuje już wyraźne zróżnicowanie w twórczości naszych satyryków. Jedni, tacy jak Lec, Pasternak, a z młodszych Marianowicz i Woroszylski przeszli na bardziej rewolucyjne pozycje, inni zatrzymali się na poprzednich, liberalnych, względnie radykalizujących pozycjach. Przy czym atakowanie tzw. obskurantyzmu polega częstokroć na operowaniu ogólnikami, zamiast ukonkretnienia tematu i związania go z konkretnymi przejawami życia, z kolorytem środowiska, z jego zwyczajami i z jego słownictwem.

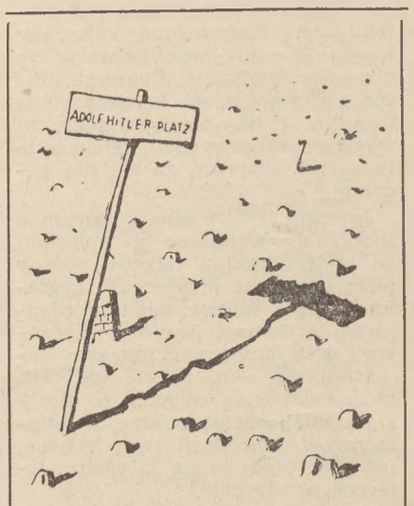

Kult dla Fuhrera w Rzeszy coraz
[bardziej znać —
Były miasta, — a dzisiaj...
[Adolf-Hitler-Platz"!

Al. Maliszewski

Stworzono jakieś ogólne pojęcie reakcjonisty i jak w worek bez dna zaczęto sypać w niego ataki, zaczepki i złośliwości, zamiast w każdym wypadku dojrzeć określony typ społeczny, wyrastający z konkretnego środowiska. W pogoni za dowcipnymi sytuacjami i kalamburami słownymi satyra nasza zagubiła człowieka. Czyż to nie gotowy temat satyry na satyrę?!

Nieumiejętność, względnie niechęć do obserwacji i do analizy faktów rzeczywistych, które odbijają się chociażby w prasie codziennej, przyczyniła się do tego, że satyra nasza przegapiła szereg niezmiernie charakterystycznych faktów z naszego życia. Weźmy dla przykładu pierwsze lata po wyzwoleniu. Okres masowej repatriacji, okres odbudowy warsztatów pracy z ruin, z pogorzelisk. Czy okres ten — poza felietonami satyrycznymi Huszczy — znalazł chociażby minimalne odzwierciedlenie w satyrze albo w karykaturze? A przecież to była kopalnia tematów dla pisarzy i plastyków, tematów, które już nie powrócą, bo życie poszło dalej. Nie wiem, czy zobaczymy w plastyce albo w literaturze twarze tych, którzy po latach przymusowej włóczęgi powrócili do kraju. Nie potrafiliśmy zafiksować w dziełach literackich zmian w świadomości naszego chłopa spełniającego pionierską pracę na Ziemiach Odzyskanych. Nie znam ani jednego utworu satyrycznego napisanego przez naszych satyryków na tle środowiska robotniczo-chłopskiego. A jeśli tego rodzaju utwory powstały, to tworzyli je właśnie na pograniczu literatury pisarzy pochodzący ze środowisk robotniczo-chłopskich. Małorolny chłop Seweryn Skulski, reemigrant z Ameryki, potrafił stworzyć szereg satyr i humoresek z życia wiejskiego dostrzegając klasowe przeciwieństwa na wsi, oraz osiągnięcia polityczne i kulturalne. On też napisał jedną z najbardziej ostrych antyamerykańskich satyr, jakie u nas powstały. Również Józef Pogan w swych opowiadaniach stworzył szereg ciekawie, satyrycznie uchwyconych postaci wiejskich kułaków, kościelnic, działaczy opisując je w ich dosadnym i barwnym słownictwie. Nie próbowano nawiązać do ludowej, a tak bogatej przecież tradycji satyrycznej tkwiącej w pieśni, pisarstwie ludowym od czasów pańszczyźnianych i pamiętnikarstwie, co może przyczyniłoby się w jakimś stopniu do odświeżenia dotychczasowych kostniejących już form wyrazu satyrycznego satyry mieszczańskiej. Satyra nasza nie potrafiła nawet pokazać ani jednej postaci z deklasującego się mieszczaństwa czy też z kół byłych obszarników, ktorych wypadki odrzuciły na bok. A ileż tego rodzaju postaci można było zaobserwować? Element tragizmu niezbędny dla każdej szczerze pojętej humanistycznej satyry wzbogaciłby niejedną twórczość. Tego rodzaju przykładów braku ostrości widzenia naszej satyry można by znaleźć znacznie więcej.

Zwężając zagadnienie powyższe do spraw, że się tak wyrażę, laboratoryjnych musimy stwierdzić jedno: po wojnie ustały poszukiwania własnego, nowego stylu poetyckiego. To, co zostało zdobyte w poprzednich okresach, obecnie się najwyżej udoskonala. Poza przyśpiewkową zwrotkę wywodzącą się z „Zielonego Balonika" i „Skamandra" poeci nasi uprawiający satyrę na ogół — z wyjątkiem Leca i Gałczyńskiego — nie mogą się wygramolić. Brak odświeżenia formy zbiega się jakoś z prawie całkowitym brakiem ambicji tłumaczeniowej. O ile przed wojną pojawiało się wiele tłumaczeń poetyckich z najrozmaitszych satyryków, to obecnie z wyjątkiem Leca, Pomianowskiego i Marianowicza nikt nie tłumaczy. Wytwarza się mimowoli szarość formalna. Oczywiście zagadnienie poetyki jest drugorzędne i zależne jest od przełamania postawy samego poety. Gałczyński, który zadziwiał nas wynalazczością swoich pomysłów i ruchliwością swojej wyobraźni poetyckiej, nie posunął się daleko poza krąg swoich przedwojennych możliwości poetyckich. To samo można powiedzieć o Swinarskim, który przecież w swoim czasie napisał szereg znakomitych satyrycznych wierszy.

O ile jednakże poezja satyryczna mimo wszystko zdobyła się po wojnie na szereg pięknych i wartościowych utworów, to proza satyryczna niestety mało czym może się pochlubić.

Przeważa tu typ krótkiego felietonu, prawie dziennikarskiego, ubranego w kusą literacką szatkę. Taki zbeletryzowany felietonik albo felieton-nowelka sprawia po większej części wrażenie niedopracowanego szczo szkicu. Nazbyt szczupła objętość tego rodzaju utworu nie pozwala na rozwinięcie jakiejkolwiek akcji ani też na wprowadzenie postaci. Autor przemawia niejako od siebie, po większej części językiem „zawodowo-literackim" tj. jednostajnym, pozbawionym bogactwa i rozmaitości form językowych, jakimi można operować wprowadzając bogatszą galerię postaci. Brak postaci, brak rozleglejszej fikcji literackiej cechuje wszystkie tomy satyrycznych felietonów. I znowu to, co powiedzieliśmy omawiając poezję, możemy już w tym wypadku najwyraźniej podkreślić. Tchórzliwy stosunek do życia, atakowanie nic nie znaczących przejawów i starannie zamaskowana postawa wobec najistotniejszych zagadnień. Jedyna powieść satyryczna, jaka ukazała się po wojnie „Miasteczko nad Olszanką" Jana Huszczy wykazuje te same braki, jakkolwiek posiada wiele walorów artystyczno-stylistycznych. Huszcza nie ukazuje w niej korzeni zjawisk, widząc tylko zewnętrzne śmieszności małomieszczańskiego środowiska. Satyra pojęta przez niego realistycznie powinna operować konkretnym materiałem poznawczym. Takiego jednakże miasteczka jak Olszanka w rzeczywistości u nas w Polsce nigdy nie było. Jeśli nawet pewne opisy oparte są na obserwacji, to całokształt fabuły prowadzi wyłącznie do spięć groteskowo-farsowych. Jeśli Sałtykow-Szczedrin potrafił dojrzeć oblicze małego miasteczka, a przez to stworzyć niespotykany w literaturze swego okresu nowy temat, jeśli potrafił ukazać całą skomplikowaną ekonomiczno-polityczno-kulturalną atmosferę, która powoduje istnienie takich właśnie środowisk społecznych, które satyryk umie ująć w odpowiednim skrzywieniu satyrycznym — to Huszcza bawi się „chwytami satyryczno-groteskowymi", traktując swoich bohaterów jak marionetki, które można zręcznie pociągać za sznurek, ażeby mogły wykonywać komiczne ruchy i gesty. Groteskowe sytuacje, które Huszcza umiejętnie tworzy i spiętrza, wskazują raczej na duże techniczno-stylistyczne możliwości pisarza, niż na chęć satyrycznego ukazania prawdziwej roli swoich bohaterów. W tym tkwi może jedno z głównych niebezpieczeństw dla pisarza. Gdzie środowisko jest całkowicie fikcyjne, pomimo realistycznej metody, jaką posługuje się autor, gdzie satyra jest oderwana od środowiska, gdzie kierunek wystrzału satyrycznego jest nieokreślony, tam istota samej satyry zastaje podważona. Obawa jawnego starcia z obskurantyzmem spycha satyrę i w tym wypadku na peryferie.

Koła się toczą ku zwycięstwu
(z napisu na plakatach niemieckich)
Bije z plakatów rozpaczliwy krzyk:
— Alle Räder rollen zum Sieg!
A na to mi powiada ktoś:
— Koła — możliwe — lecz nie oś.

Tomasz Wiatraczny (Tad. Hollender)
„Satyry i Fraszki" 1943 r.

Kiedy się czyta utwory wielkich satyryków, przedstawicieli tych okresów kulturalnych, które potrafiły posunąć doświadczenie człowieka o szczebel w górę, bije z nich głęboka mądrość i troska o człowieka. Śmiech tej satyry i jej ironia bazując na głęboko ludzkich, etycznych i filozoficznych podstawach stawały się ważnym orężem w walce o prawdę i postęp. Tylko że wtedy satyra sama stawiała przed sobą wielkie i dalekosiężne cele.

Jan Śpiewak

ALEKSANDER PUSZKIN

Więzień

Wilgotna mnie więzi tu cela i krata.
Wolności syn, orzeł, przybłęda ze świata,
Towarzysz mój smutny, machając skrzydłami,
Rwie krwawą swą zdobycz pod mymi oknami.
Rwie zdobycz i do mnie zagląda przez szyby,
Jak gdyby te same miał myśli. Jak gdyby
I dzikim swym krzykiem, i wzrokiem swym niemym
Zawołać chciał na mnie: „Posłuchaj, umkniemy!
Czas, bracie, rozpostrzec nam wolne swe pióra,
Czas lecieć, gdzie biała za chmurą lśni góra,
Ku owej błękitnej, nadmorskiej krainie,
Gdzie wicher wraz ze mną króluje jedynie...

Urywek

Na pagórkach Gruzji leży nocna mgła.
Aragwa z szumem oto płynie.
Tak dobrze mi, tak źle: tęsknota cicha ma
Ku tobie biegnie w tej godzinie.
Ku tobie tylko... Tak! Przebrzmiały echa burz,
Ból żaden piersi mej nie porze,
I serce płonie znów, i kocha: takie już
To serce, że nie kochać — już nie może.

Do piastunki

O przyjaciółko dni surowych,
Gołąbko moja, siwa, biedna!
Tak długo w głuszy drzew sosnowych
Wciąż na mnie czekasz, sama jedna.

Niby na warcie wiernie trwając,
Siedzisz przy oknie swej ustroni
I druty co raz to przestają
Migotać w twej zmarszczonej dłoni.

Na bramę patrzysz opuszczoną,
Na czerniejącą oddal drogi:
Przeczucia, smutki, troski, trwogi
Bez przerwy szarpią twoje łono.

Przełożył
Leonard Podhorski-Okołów

HENRYK MARKIEWICZ

PORTRET SŁOWACKIEGO

Wbrew pozorom, biografia człowieka, który pisał, iż z życia swego stworzył „poemat dla Boga" — nie jest wdzięcznym tematem. Życie Mickiewicza posiada tragiczną wzniosłość i historyczne znaczenie, które czynią go godnym opisu i badania, nawet w oderwaniu od jego twórczości. Inaczej rzecz ma się ze Słowackim: rozpieszczony jedynak pani Salomei, chorobliwie ambitny debiutant, romantyk pozujący a nawet nieco zakłamany, nie pozbawiony próżności amator roli salonowego dandysa, zawsze niefortunny kochanek — ten Słowacki, jaki wyziera z własnych listów i relacji współczesnych, to typ z nienapisanej antyromantycznej powieści czy komedii satyrycznej, jakiś nowy — trochę odmienny, bo podszyty chudopacholskim snobizmem Fantazy— ale nie materiał na bohatera polskiego Plutarcha.

Essay biograficzny Pawła Hertza*) uwypuklił właśnie owe negatywne rysy w wizerunku Słowackiego. Prawda, autor ostrzega przed zbyt pochopnym wyrokowaniem: „Jeśliby sądzić ludzi podług tego, gdzie bywają i jak się zachowują — zwłaszcza gdy sądzić tak ludzi owych romantycznych lat — cóżby za sąd przyszło nam wydać o Chopinie, wnoszonym, bo już mu było ciężko chodzić, na wieczór do Czartoryskich, lub odwrotnie — o Mickiewiczu zaniedbanym, w wyświeconym surducie, gdy wypowiada pochwały miernych, ale oddanych sobie poetów emigracji?". „Byron, zapustny Paryż pełen powozów i masek, wykwintne ubrania, prezentowane Platerom w Tuileryjskim Ogrodzie z taką niedbałością, że aż mówiono o Juliuszu: „Quel fat insupportable!", to tylko jedna strona medalu, na którym czas i konwenans wyryły profil poety. Jest jeszcze i druga strona. Ale tej drugiej strony medalu Hertz nie pokazuje. Wymagałoby to uzupełnienia materiału autentycznego— śmiałą intuicją, która by odsłoniła najgłębsze, najintymniejsze wewnętrzne zmagania poety, jakich nie powierzał nawet listom do matki, i dziennikom. A na to Hertz się nie zdecydował. Jego samodzielność interpretacyjna nie jest odważniejsza od samodzielności autorów monografii naukowych, których obowiązywały przecież surowsze reguły ostrożności badawczej. Piękna w swej stylistycznej powściągliwości narracja Hertza nie opuszcza twardego gruntu udokumentowanych faktów dla fikcji tylko prawdopodobnej, lecz koniecznej dla prawdziwości i pogłębienia wizerunku psychologicznego, który bez tego uzupełnienia wypada zbyt krzywdząco dla portretowanego.

Prawda, jest jeszcze Słowacki po „Transfiguracji", z okresu mistycyzmu, gdy zerwał zdecydowanie ze światem woskowanych posadzek, by dążyć do anielstwa duszy. Ale ani ta przemiana wewnętrzna, ani napięcie myślowej walki o zasadnicze prawdy filozoficzne, ani wreszcie heroizm wyprawy poznańskiej 1848 roku, nie zostały przez autora ukazane z zadowalającą sugestywnością. Wydaje mi się, że rewizjonizm Hertza — zasadniczo słuszny — idzie jednak za daleko, gdy w taką tylko formułę zamyka ostatnie lata Słowackiego: „W tej równoległej niemal działalności: spekulacji akcjami drogi żelaznej i daremnym poszukiwaniu ideałów demokracji w najbardziej jej obcych instytucjach — w konfederacji i liberum veto — w i d z ę n a j p e ł n i e j Słowackiego w ostatnim okresie jego życia..." (podkreślenie moje — H.M.)

Inna rzecz, że ostatnie rozdziały książki, zwłaszcza: „Veto brata Juliusza", „Jeden przeciw Sprawie", „Pomocnik rewolucji nieuniknionej", „Wiosna Ludów", nie potwierdzają tego osądu, zbyt surowego, — pokazując w Słowackim niepodległego wewnętrznie człowieka i poetę rewolucyjnego postępu.

A jednak w książce Hertza przytoczona została wzruszająca scena — rzecz dzieje się we Wrocławiu w r. 1848 — spotkanie młodego szlachcica Weryhy Darowskiego z nieznanym mu z wyglądu, małym i schorowanym człowiekiem, który dziwnie nieuprzejmie przyjął uży-

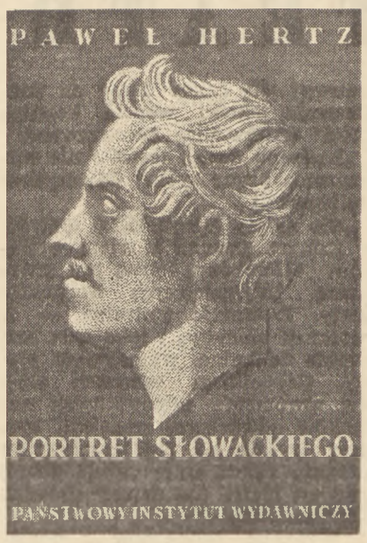

czony przez Darowskiego nocleg na wspólnej kwaterze. ...„przeszedłszy jeszcze z dziesięć razy stancję od okna do proga i od proga do okna zatrzymał się nagle przede mną — pisze Darowski — i rzekł: „Ale tam torba moja w sieniach została..." Mówił to takim tonem, jakby oczekiwał, że pójdę po nią. Tego już było mi za wiele. „Przepraszam — rzekłem, siląc się na spokój — z kimże mam przyjemność?" Na to on: „Ale co za przyjemność, mój panie? Tu nie ma żadnej przyjemności. Izba jak klatka, zmęczony jestem, zbity drogą tak, że ledwie żyję i cóż tu za przyjemność?..." Drwi, czy o drogę pyta, myślę sobie, a żółć kipi we mnie... Z lasu, czy co, że z ludźmi gadać nie umie. Hamuję się wszakże i rzekę: „Jak jest, to jest, ja — jako gospodarz tej izby czy klatki przedstawiłem się panu i radbym nawzajem wiedzieć kogo mam za gościa". Tak już mu musiałem łopatą wyłożyć i aż mnie za niego wstyd było. Mówiłem a on chodził. Chwilę trwała cisza. „Słowacki..." burknął wreszcie nie przerywając wędrówki. Myślałem, że we mnie piorun strzelił. Zaniemiałem po prostu. „Sło...Ju... Juliusz Słowacki?" buchnęło mi nareszcie z piersi, a jużem myślał, że mnie głos rozsadzi. „A Juliusz, Juliusz" rzekł gość machnąwszy ręką i nie patrząc na mnie chodził dalej. Sam nie wiem, jakem po torbę zleciał i jakem ją do izby wniósł. Ręce mi latały, serce tłukło się we mnie, wszedłem cicho na palcach, jakby do kaplicy..."

Otóż myślę, że do tej kapitalnej sceny nie jest czytelnik mimo wszystko przygotowany, nie zrozumie kornego podziwu młodego szlachcica dla Słowackiego. Zamyka się książkę ze współczuciem dla umierającego przedwcześnie, samotnego suchotnika, a nie — z obrazem wielkości odchodzącego poety. Dlaczego? Może dlatego, że ta książka rozumnie i precyzyjnie opisująca sprawy życiowe Słowackiego, napisana została ze stanowiska jakby — obserwatora. Nie widać w niej natomiast — proszę wybaczyć niesprawdzalność tego zarzutu — żarliwości pisarskiej wobec tematu.

Wspomniałem już na wstępie, że życiorys Słowackiego to zadanie niewdzięczne dla pisarza. Niewdzięczne m. i. z tego powodu, że stawia biografa w nieuchronną zależność od jedynego niemal źródła, i to źródła artystycznie tak świetnego, jak listy poety. W pierwszych rozdziałach książki ta sytuacja jakby niecierpliwiła autora — dosyć oschle i pośpiesznie referuje fakty znane z tylu opracowań częściowo jednak uwalnia się od owej zależności: po pierwsze — odsłania, jak widzieliśmy, postać Słowackiego spod efektownie udrapowanego romantycznego płaszcza, następnie zmienia zdecydowanie tradycyjny rozkład akcentów. Rola, jaką odegrały w życiu Słowackiego Ludwiki, Kory i Eglantyny, została sprowadzona do właściwych wymiarów. Natomiast Hertz programowo podkreśla: „...prawda każdego czasu, który przeminął, może być wydobyta jedynie przez rozpatrywanie rzeczy drobnych na tle historycznej całości" i szeroko to tło rozbudowuje. Niekiedy jednak między problematyką historyczną okresu a losem osobistym Słowackiego jest luz zbyt duży, by powiązania między nimi mogły być przez czytelnika dostrzeżone. To np. co Hertz pisze o okresie 1815 — 1830, nie tłumaczy jeszcze postawy życiowej młodego Słowackiego. Nie wystarcza kilka zdań, którymi zbyto przyczyny przełomu mistycznego. Wydaje mi się również, że krzywdzącym dla Słowackiego uproszczeniem jest pogląd, jakoby stał on się poetą narodowym, ponieważ zrozumiał, iż „jeśli zamierza pisać po polsku jako emigrant, jeśli chce, by głos jego brzmiał tak samo donośnie jak głos Mickiewicza, musi zrzucić opończę byronicznych pozorów i włożyć nowy strój". Mówiąc prościej: że trzeźwo ocenił sytuację, w której tylko tematyka patriotyczna mogła mu zapewnić powodzenie. Wreszcie — by skończyć z tymi marginesowymi zastrzeżeniami — zagadkowego stopu elementów postępowych i reakcyjnych w ideologii społecznej Słowackiego nie wyjaśnia uporczywe kwalifikowanie go jako „szlachetki", kwalifikowanie zresztą wątpliwe; należałoby może raczej mówić o inteligencie szlacheckim poróżnionym ze swą klasą i zapadającym się w próżnię międzyklasową, wobec niedojrzałości społecznej mas ludowych.

Jeśli jednak przedstawienie historyczno-społecznego uwarunkowania psychologii i postępowania poety niezupełnie zadowala, to trzeba podkreślić jako zasługę Hertza bardzo staranne i szczegółowe omówienie stosunku Słowackiego do współczesnych wydarzeń i kierunków politycznych. W monografii tej widzimy go nie tylko podczas flirtu z Marią Wodzińską w Szwajcarii, czy marzeń na egipskiej piramidzie, lecz również i na pierwszych planach — w salonach Hotelu Lambert i na posiedzeniach poznańskiego Komitetu Narodowego w r. 1848. Pod tym względem bardzo zyskuje praca Hertza przez porównanie np. z powieścią o Słowackim Juliana Wołoszynowskiego (z r. 1928), z której tło historyczne zostało albo wytrawione albo zmitologizowane.

Inna zaleta „Portretu Słowackiego" to skrupulatne wydobycie elementów postępowych z ideologii poety. Hertz przy tym nie wulgaryzuje tego problemu, „pomocnika rewolucji nieuniknionej" nie pasuje gwałtem na prekursora demokracji ludowej. „Przychylność Juliusza dla ruchów rewolucyjnych — pisze — nie wynikała (...) ze świadomego rozumienia praw rozwoju historycznego, lecz z wiary, że ruchy te zrywając więzy absolutyzmu zaborczego, krępujące społeczeństwo polskie, przyczynią się jednocześnie do strzaskania wszelkich form i pozwolą na organizację społeczeństwa aniołów". Słusznie przypomina Hertz, że w roku 1848 walka ludu paryskiego o interesy materialne budziła najwyższą niechęć Słowackiego, a dla urzeczywistnienia swego programu anarchistycznego anielstwa, apelował ten „republikanin z ducha" nie tylko do ludowych ruchów rewolucyjnych, lecz także — do dobrej woli księcia Adama Czartoryskiego.

Książka Hertza wyposażona została w ciekawy materiał ikonograficzny w dużej części nieznany niespecjalistom.

Henryk Markiewicz

**) Paweł Hertz: Portret Słowackiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1949; stron 211 i 5 nbl. 216 ilustracji.*

MARCELI POZNAŃSKI

POLSKI ŻYWOT PUSZKINA

Marian Toporowski. Puszkin w polskiej krytyce i przekładach. Zarys bibliograficzno - literacki. Kraków, 1939, Druk W. L. Anczyca; str. 118, 3 nlb.

Dopiero b i b l i o g r a f i a, sumienna, możliwie wyczerpująca przedmiot, fachowa i odkrywcza bibliografia potrafiła ukazać polski żywot nieśmiertelnej poezji Aleksandra Puszkina, oświetliła jakby wielkim reflektorem znaną tylko w małej części, długą i wciąż niekończącą się drogę polskiej percepcji twórczości autora „Eugeniusza Oniegina". Bibliografia ściśle udokumentowała to imponujące zjawisko, któremu na imię: Puszkin w Polsce. Jakże nie rozsmakować się w pozornie „suchej" bibliografii, jakże nie poczuć dla niej szacunku! Jak dobrze jest od zachwycenia się poezją geniusza Rosji i całej Słowiańszczyzny przejść na twardy grunt pozycji polskich przekładów Puszkina, głosów i studiów o nim, na uprawny grunt dat, nazwisk, tytułów i liczb.

Możliwie pełną, polską bibliografię puszkinowską, wydaną w roku wybuchu drugiej wojny światowej, a obejmującą materiał literacki do r. 1938 (rękopis pracy oddany był do druku w maju 1938 r.) opracował Marian Toporowski, bibliograf i krytyk literacki. Jeżeli **habent sua fata libelli**, to **fata** książki pt. „Puszkin w polskiej krytyce i przekładach" mają wymowę szczególnie interesującą i znamienną. Książka wydana 10 lat temu, latem 1939 r.*), przed wojną nie zdążyła rozejść się, później okupant całkowicie rozproszył jej nakład, tak iż obecnie stała się wielką rzadkością, prawdziwym białym krukiem. Zaledwie kilka bibliotek w kraju posiada ją, w Warszawie — Publiczna i Uniwersytecka. Bibliografia Toporowskiego, mimo dziesięciu lat życia, jest więc jakby nowością wydawniczą, tym bardziej ważną i cenną, że niemal nieznaną ogółowi gdyż książka ta nigdy nie ukazała się na rynku księgarskim.

Bibliografia omawiana wyodrębnia „przekłady i adaptacje utworów Puszkina" oraz „rzeczy o Puszkinie". Poprzedza ją „kilka uwag krytycznych", uzupełniają zaś dwa pracowite indeksy: tytułów utworów tłumaczonych (w brzmieniu oryginalnym alfabetem rosyjskim) oraz autorów i tłumaczy.

Siedemset sześćdziesiąt sześć! To łączna, pokaźna liczba przekładów naszych z Puszkina oraz polskich puszkinianów, a więc artykułów, szkiców literackich, rozpraw i oddzielnych książek, składających się na polską literaturę o Puszkinie. Liczba pozycji, powtarzamy, ograniczona została materiałem do r. 1938.

Dwieście tytułów! To liczba utworów Puszkina, przetłumaczonych do r. 1938 na język polski przez z górą 100 pisarzy. Uwzględniając kilkakrotny przekład niektórych utworów, otrzymamy liczbę czterystu trzech polskich przekładów. Jak wygląda ta liczba 403 w zestawieniu z analogicznymi liczbami w innych językach? Jak wygląda nasz puszkinowski rekord przekładowy? W bibliografii przekładów Puszkina na języki europejskie, zestawionej przez Wł. Neistadta w wydawnictwie Akademii Nauk ZSRR pt. „Sto lieł so dnia smierti A. S. Puszkina" (Leningrad 1938) polska literatura przekładowa otrzymała liczbę, niestety, bardzo daleko odbiegającą od rzeczywistości, tylko 70 (!) zamiast rzeczywistej liczy 403 pozycji i znalazła się w ten sposób aż na szóstym miejscu, po literaturach: czeskiej, francuskiej, serbskiej i bułgarskiej. Toporowski sam w żmudnym trudzie „dokopał" się do 403 naszych przekładów, w znacznej większości nieznanych radzieckiemu bibliografowi i mógł na podstawie ścisłych, przez siebie wykrytych i zebranych faktów literackich, skonstatować, iż w dziedzinie przekładów z Puszkina zajmujemy nie szóste lecz bezkonkurencyjnie pierwsze miejsce. W istocie z dumą możemy stwierdzić, iż żaden naród nie prześcignął nas w znajomości i szerokim popularyzowaniu poezji Puszkina.

Kto pierwszy w literaturze polskiej przyswoił Puszkina? Czcigodny Samuel Bogusław Linde, autor „Słownika języka polskiego". Przetłumaczył on w r. 1823 Mikołaja Griecza „Rys literatury rosyjskiej", a w nich — choć nie był poetą — przytoczony przez Griecza dla charakterystyki Żukowskiego wiersz Puszkina „K portretu Żukowskogo".

W r. 1829 wielki przyjaciel Puszkina, Adam Mickiewicz, w pierwszym tomie „Poezji", wydanym w Petersburgu, pięknie tłumaczy „Przypomnienie" Puszkina. Równocześnie z twórcą „Pana Tadeusza" występują w rzędzie tłumaczy: Chodźko, Odyniec i przede wszystkim na wyróżnienie zasługujący Ignacy Despot Zenowicz, autor zbiorku przekładów liryki Puszkinowskiej pt. „Imionnik" (Petersburg 1830) należącego do najpiękniejszych przekładów w XIX wieku. „Imionnika" nie posiada żadna biblioteka! Druk i jego twórcę odkrył autor bibliografii, M. Toporowski, nie tylko utrwalając tę pozycję w omawianej książce, ale ponadto pisząc o Zenowiczu i jego „Imionniku" studium, pełne erudycji i uroku bibliofilskiego pt. „O nieznanym poecie, który tłumaczył Puszkina..." („Odrodzenie" 1949, Nr. 23).

Krąg tłumaczy coraz bardziej wzrasta. Nie zawsze kultowi mistrza poezji rosyjskiej odpowiadał talent tłumacza. Charakterystycznym faktem jest, iż niektóre utwory puszkinowskie — zwłaszcza poematy romantyczne — znajdowały szczególnie żywy oddźwięk, tłumaczone były kilkakrotnie, „Cyganie" — aż sześciokrotnie. „Eugeniusza Oniegina" tłumaczył Leo Belmont (Leon Blumental), adwokat, literat i publicysta: pierwsze wydanie jego przekładu „Oniegina" ukazało się w r. 1902, drugie, znacznie poprawione, w r. 1925. W okresie międzywojennym nieporównanym artyzmem i wczuciem się w ducha oryginału odznaczyły się przekłady Juliana Tuwima: „Jeździec Miedziany" w r. 1932 i tom utworów lirycznych pt. „Lutnia Puszkina" w r. 1937.

Literatura o Puszkinie reprezentowana jest u Toporowskiego pokaźną liczbą z górą 500 pozycji: notatek, listów, artykułów, szkiców literackich, studiów, osobnych książek oraz blisko 250 autorów. Oto — Puszkin w polskich oczach! „Gdyby nie było innych źródeł, to z pamiętników, listów i wypowiedzi Polaków współczesnych Puszkinowi, znających go osobiście lub obracających się w jego środowisku, bylibyśmy w stanie odtworzyć najważniejsze etapy życia autora „Oniegina" — pisze Toporowski w innym miejscu (w „Przewodniku po wystawie jubileuszowej „Puszkin w Polsce"). Poczet wypowiedzi o Puszkinie otwiera w r. 1820 fragment listu z Petersburga filarety Wincentego Pełczyńskiego do Jeżowskiego.. Pełczyński pisze m. i. o „talencie niemałym do poezji w młodzieńcu 19-letnim, którego kilka kawałków i jedno poema niewielkie, bardzo się udały, szczęśliwie i mocno są napisane: **ale, że Muza jego nie znała dobrze ukazów, wysłano go za to na granicę Persji, ażeby tam trochę pobujała**". Mówiąc o „poemacie niewielkim", Pełczyński ma na myśli „Rusłana i Ludmiłę"; południe Rosji, dokąd zesłany był Puszkin przez cara Aleksandra I, określa on jako... granicę Persji! Kilkakrotnie wypowiada się o Puszkinie — za życia jego i po jego zgonie tragicznym — Adam Mickiewicz. Gdy Puszkin umiera w pojedynku 10 lutego 1837 r., twórca „Pana Tadeusza" stwierdza m. i. w obszernym wspomnieniu pośmiertnym (artykuł sygnowany: Przyjaciel Puszkina), drukowanym w pierwszym numerze paryskiego czasopisma „Le Globe" z maja 1837 r., iż „kula, która ugodziła Puszkina, zadała cios straszliwy Rosji intelektualnej". O Puszkinie wypowiadał się również szereg naszych historyków literatury, m. i. Włodzimierz Spasowicz, Józef Tretiak i Wacław Lednicki.

Próbowano już przed Marianem Toporowskim omówić w Polsce twórczość Puszkina. Wyliczamy ważniejsze prace na ten temat w porządku chronologicznym: Józefa Trietiaka „Polskie przekłady Puszkina" („Kraj" 1887), Jana Łosia „Puszkin w literaturze polskiej" („Kraj" 1899, Nr. 22), Edmunda Kołodziejczyka „Bibliografia słowianoznawstwa polskiego", zawierająca największą ilość puszkinianów polskich za czas od początku XIX w. do r. 1938 ;dalej szereg prac wydanych w latach 1937 — 1938 (r. 1937 — stulecie śmierci poety): Henryk Batowski „Puszkin w Polsce" („Kurier Warszawski" 1937, Nr. 59), artykuł oparty na pracy E. Kołodziejczyka:, Sergiusz Kułakowski „Puszkiniana polskie" „Życie literackie", 1937 r., Nr. 2), Marian Jakóbiec „Puszkin w polskiej literaturze powojennej" („Ruch słowiański" 1937, Nr. 2), Teodor Parnicki „Puszkinistyka polska („Lwów literacki" 1937, Nr 2) i wreszcie obszerna praca M. Jokóbca „Jubileusz Puszkina w Polsce" („Przegląd współczesny" 1938, Nr. 2), szczegółowo i krytycznie omawiająca prace o Puszkinie, wydane w r. 1937 oraz uroczystości puszkinowskie w stulecie zgonu poety.

Wszystkie te prace odtwarzają jednak Puszkina w Polsce w sposób fragmentaryczny i niedokładny. Bibliografię obszerną, możliwie najpełniej ukazującą „polskiego Puszkina", bibliografię w wielu wypadkach odkrywczą, otrzymaliśmy dopiero w dziele Toporowskiego „Puszkin w polskiej krytyce i przekładach". Uwzględnia ona zarówno książki, jak i w dużej mierze artykuły w czasopismach. Jest to bibliografia adnotacyjna, określona przez autora jako zarys bibliograficzno-literacki. Podane pod wieloma pozycjami adnotacje posiadają wysoce pożyteczny charakter orientacyjny. Przy niektórych, rzadszych pozycjach w dziale przekładów i adaptacji — obfite, charakterystyczne cytaty. W ten sposób trwale udokumentowane zostały wiadomości o takich cymeliach, jak np.: wspomniany już „Imionnik" Ignacego Despot Zenowicza z r. 1830 lub pozycja współczesna Jerzego Lieberta, rękopis z lat 1929—1930 przekładu „Mozarta i Salierego".

Życzyć by należało, aby adnotacje — po pierwsze — były raczej regułą a nie wyjątkiem, a po drugie — aby ujednostajnić ich typ. W opisie bibliograficznym pozycji książkowych pominięto jeden z elementów tego opisu, mianowicie format. W indeksie autorów i tłumaczów nazwiska jednych od drugich warto by oddzielić gwiazdką.

Są to, oczywiście, uchybienia drobne na tle wartościowej całości.

Najważniejsze, iż otrzymaliśmy bibliografię do czytania, a nie tylko do wertowania dla pracowników naukowych. Czytelnik jej, trawestując francuskiego Sylwestra Bonnarda, może powie: nie znam nic bardziej pociągającego i przyjemniejszego nad czytanie... bibliografii. W postaci omawianego dzieła otrzymaliśmy fundament polskiej puszkinologii współczesnej.

W warunkach Polski Ludowej i zwłaszcza w roku bieżącym, Roku Puszkinowskim, obchodzonym równocześnie z Rokiem Mickiewiczowskim, zainteresowanie się poezją Puszkina, oczywiście, bardzo znacznie wzrosło i znalazło swój konkretny wyraz w licznych, nowych przekładach, artykułach itp. Bibliografia puszkinowska pilnie wymaga więc zaktualizowania.

Na zakończenie wiadomość wysoce pocieszająca dla czytelników. Autor „Puszkina w polskiej krytyce i przekładach" pracuje nad nowym, rozszerzonym wydaniem swego dzieła.

Marceli Poznański

**) pierwotnie ukazała się w tomie XVII „Prac" Polskiego Towarzystwa dla badań Europy Wschodniej i Bałkańskiego Wschodu, zawierającym dwutomowy zbiór studiów pt. „Puszkin" (1837 — 1937), pod redakcją prezesa tego Towarzystwa. prof. W. Lednickiego, Wraków, 1939.*

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZO-OŚWIATOWA
»CZYTELNIK«
Ostatnie Nowości Działu Nut

»Piosenki Czytelnika«
TADEUSZ SZELIGOWSKI
ZIELONA BRZÓZKO OD RÓŻANA TRAKT
Tekst Tadeusz Kubiak
str 4
zł 70

»Piosenki Czytelnika«
PIOTR PERKOWSKI
R Z E K I
Tekst K. A. Jaworski
str 4
zł 70

Nowy rok szkolny otwieramy liczbą 12 milionów egzemplarzy nowych podręczników szkólnych

KLIMA KRYMKOWA

DZIECI BĘDĄ MIAŁY SWÓJ TEATR

„Wybudowane zostaną dwa nowe teatry dla młodzieży i dzieci" — powiedział Prezydent Bierut, a zatem po raz pierwszy w dziejach naszego państwa powstaną gmachy specjalnie na ten cel przeznaczone.

Nie wszyscy zdają sobie sprawę, ile nadziei budzi ta sucha zapowiedź w ludziach, stojących blisko tego zagadnienia. Stała się ona dla nich zwiastunem unormowania chaosu panującego dotychczas w dziedzinie teatru dla dzieci. W tym zwrotnym momencie, wobec braku tradycji w naszym państwie, nie od rzeczy będzie podać do ogólnej wiadomości — materiał zebrany przez „Teatr Dzieci Warszawy". Oto garść wniosków wyłonionych na konferencjach, w których brali udział wybitni fachowcy: architekci, teatrolodzy, pedagogowie.

Wymagania stawiane budowli, przeznaczonej na teatr dla dziecka, nie powinny się różnić od wymagań stawianych teatrom dla dorosłych. Różnice dotyczą niemal wyłącznie urządzeń bezpośrednio użytkowanych przez dzieci. Tak więc np. sala widowiskowa będzie mniejsza (nie powinna przekraczać 600 miejsc), ponieważ w dużej sali mały widz nie potrafi się skupić, będzie się czuł zagubiony. Urządzenie sceny powinno odpowiadać wszystkim wymaganiom nowoczesnego teatru. W widowiskach dla dzieci poszczególne elementy sztuki jak: słowo, piosenka, taniec na przemian się uzupełniają, a to wymaga dużej sceny. Niezależnie od tego, czy sztuka jest fantastyczna, czy też realistyczna potrzebne są częste zmiany dekoracji i bogate efekty sceniczne, stąd też musimy wyposażyć scenę w najlepsze środki techniczne.

Warsztaty pod żadnym względem nie mogą różnić się od warsztatów dobrze zorganizowanego teatru dla dorosłych. Wystarczy porównać ilość rekwizytów przeciętnego widowiska teatru dla dorosłych i dla dzieci, aby to zrozumieć.

Przy obecnym stanie wiedzy o teatrze dla dzieci konieczne jest studio szkolące aktora teatrów dla dzieci oraz prowadzenie specjalnych prac badawczych. Zdobycze tych badań stanowią niezbędne informacje, które wpłyną na kształtowanie się pracy artystycznej w tej dziedzinie. Dlatego też w pierwszym gmachu teatralnym dla dzieci trzeba część budynku przeznaczyć na te cele.

W naszym społeczeństwie pokutuje jeszcze dotąd mnóstwo przesądów związanych z budową teatru tego typu. Często spotykamy się ze zdaniem, że teatr ten powinien mieścić się w tzw. „Domu Kultury Dziecka". Jest to nieporozumienie. Obie wymienione instytucje reprezentują dwa odmienne zagadnienia i podlegają różnym władzom. Dom Kultury Dziecka — ze względu na swój wychowawczo-oświatowy charakter leży w kręgu zainteresowań Ministerstwa Oświaty. Obok bibliotek warsztatów dla dzieci, sal gimnastycznych itd. znajdzie się w nim na pewno i sala teatralna. Na tej scenie będą występować dzieci, które bawią się i uczą w swoim „Domu". Nie wolno tego amatorskiego ruchu identyfikować z zadaniami zawodowego teatru. W ZSRR, jedynym kraju, gdzie zagadnienie teatru dla dzieci jest właściwie postawione, tzw. Pałac Pionierów — (odpowiednik naszego Domu Kultury Dziecka) — i Teatr Młodego Widza mają swe odrębne drogi rozwojowe i nie znam wypadku, aby obie instytucje łączono w jednym budynku.

Niepokój wśród fachowców budzą także projekty zbudowania wielkiego ośrodka teatralnego, łączącego kilka teatrów dla dzieci w jednym budynku. Temu zagadnieniu była poświęcona jedna z konferencyj Komitetu budowy teatru dla dzieci, zorganizowanego przez „Teatr Dzieci Warszawy". Przytoczę kilka wypowiedzi na ten właśnie temat:

„Było by rzeczą pożyteczną i przyjemną, gdyby dziecko mogło swój teatr objąć wzrokiem i wiedzieć, co się w nim mieści" (Stefan Baley).

„Opierając się na doświadczeniach teatrów dla dorosłych, należy przestrzec teatry dla dzieci przed popełnianiem tych samych błędów. Trzeba stworzyć warunki jednemu teatrowi dla dzieci dążąc do podniesienia jakości zespołu kosztem ilości" (Aleksander Zelwerowicz).

„Łączenie dwóch teatrów nie wytrzymuje próby życia" (Mieczysław Rulikowski)

„Nie należy łączyć kilku teatrów w jednym gmachu z wielu względów. Właściwszą formą jest stworzenie intymniejszych warunków pracy. Twórczość teatralna — to twórczość zbiorowa i jako taka niezwykle delikatna, wymagająca pieczy. Czynnikiem ogromnej wagi jest stworzenie odpowiednich warunków oddzielnym zespołom. Musimy podjąć jak najpieczołowitsze starania celem wytworzenia dobrej tradycji teatru dla dzieci" (Bohdan Korzeniewski).

„Wyrażam solidarność z poglądem, że nie należy budować gmachu „centralnego" z kilkoma scenami. Wszystkie doświadczenia wykazują przekonywająco, iż tworzenie kompleksów, (a gmach centralny — to byłby sui generis kompleks) — jest szkodliwe, niesprzyjające możliwościom twórczym" (Henryk Szletyński).

„Teatr jako instytucja wychowawcza nie może obejmować kilku zespołów zwłaszcza, iż w teatrze dla dzieci jesteśmy jeszcze w stadium eksperymentowania. Jest to tym bardziej uzasadnione w Warszawie, która jest miastem wymagającym teatrów dla poszczególnych dzielnic" (Maria Rörichowa).

Słowa Prezydenta zapowiadające budowę nowych gmachów teatralnych poruszyły umysły. Ludzie teatru dla dzieci w marzeniach widzą już budowlę tonącą w zieleni drzew, stosunkowo niewielką rozmiarami, ale piękną i dostojną w swej prostocie. To pierwszy gmach teatru dla dzieci w Polsce.

Łącząc z budową tego gmachu śmiałe nadzieje na możliwość prowadzenia normalnej pracy można się spodziewać, iż przy projektowaniu budynku porozumieją się ze sobą: architekci, znawcy teatru dla dzieci i pedagogowie. Tylko taka harmonijna współpraca może stworzyć celowe dzieło, które stanie się wzorem dla przyszłych, zapewne licznych teatrów dla dzieci.

Klima Krymkowa

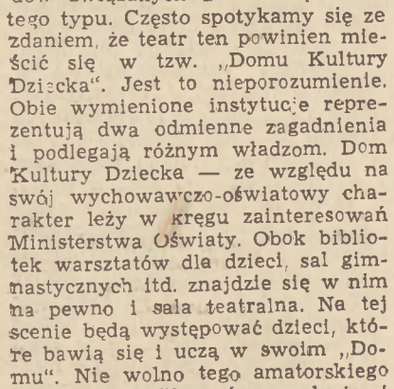

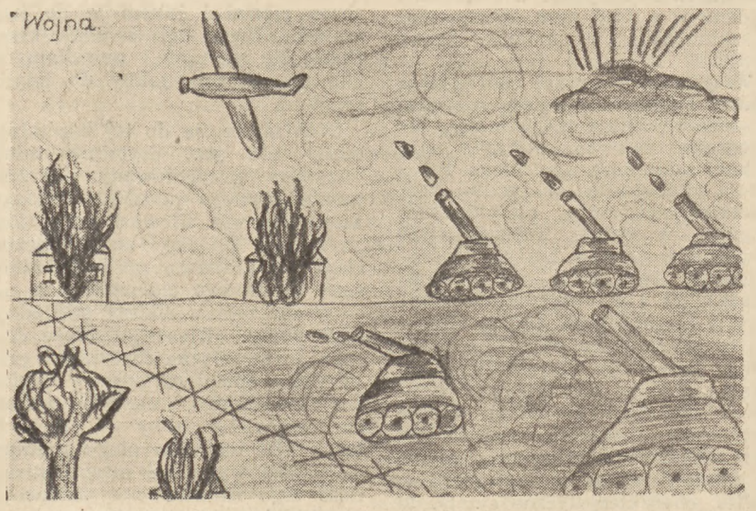

MARIA KANN

Nowe prace i projekty wydawnictw

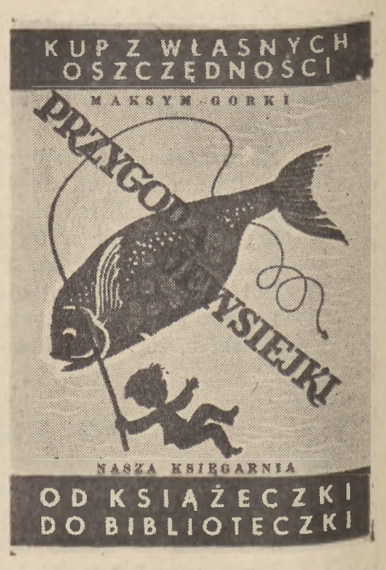

Dzieci wsi i miast otrzymają w bieżącym roku szkolnym jednakowy elementarz

Spróbujmy zestawić książki przygotowane dla dzieci przez wydawnictwa na nowy rok szkolny. Największe wysiłki poszły oczywiście w kierunku dostarczenia podręczników dostosowanych do programów szkolnych, książek popularno-naukowych i tanich książeczek, dostępnych dla wszystkich dzieci. Mniej wyraźnie zarysowały się dotychczas próby stworzenia brakujących rodzajów beletrystyki. Nowe podręczniki są dziełem przede wszystkim PZWS i Naszej Księgarni. Państwowe Zakłady Książek Szkolnych przygotowały imponującą liczbę: dwunastu milionów stu tysięcy egzemplarzy. Ciekawą nowością będzie zapowiadany kolorowy elementarz jednakowy dla dzieci miast i wsi. Opracował go znany pedagog i autor elementarzy M. Falski. Uczniowie otrzymają od PZWS także i pomoce szkolne: mapy, atlasy, tablice graficzne i i.

Nasza Księgarnia rzuci na rynek ca 30 podręczników. Obok polskich nowości, jak wypisy na kl. II Kwiecińskiej i Aleksandrzaka i Wypisów na kl. V i VI Pauszer - Klonowskiej znalazły się tłumaczenia z rosyjskiego pomocniczej lektury dla ucznia i nauczyciela: Miszutina „Historia Starożytna" i Jefimowa „Historia Nowożytna".

Dużą rolę powinny odegrać nowe, tanie książki, którym dano przyjemną szatę graficzną. „Nasza Księgarnia" opracowała trzydziestozłotowe książeczki dla dzieci młodszych pod hasłem: od książeczki do biblioteczki. Mogą one zachęcić dzieci do kompletowania bibliotek za własne, zaoszczędzone pieniądze. Jako pierwsze z tego cyklu ukazały się Sölmy Lagerlöff — „Marynia" i Maksyma Gorkiego — „Przygoda Jewsiejki" Pisemka dla dzieci: „Iskierki", „Płomyczek", „Płomyk" mają już także swoje biblioteczki w prenumeracie i dzieci mogą otrzymać niektóre książki po cenie od 30 do 50% niższej niż na rynku księgarskim.

W ramach walki z analfabetyzmem „Prasa Wojskowa" przy współpracy TURIL wydaje książki dla żołnierzy, którym sprawia trudność technika czytania. Pomysł doskonały, można by było dyskutować, czy słuszną jest rzeczą skracanie powieści, tak, aby stanowiły one całość. Może lepiej było by dawać niektóre tylko fragmenty, aby zachęcić żołnierzy i młodzież wiejską do przeczytania tych książek w całości.

Nieomal wszystkie wydawnictwa przyniosły nowe książki popularnonaukowe, opracowane na ogół ciekawie i dostępnie dla młodzieży. W Biblioteczce Młodego Czytelnika zjawiły się nowe pozycje: Iljina i Bianki i Zwierowa. Młodzież może też korzystać ze znacznej liczby wydawnictw „Wiedzy Powszechnej".

Książka i Wiedza wydaje głównie książki z dziedziny przyrodoznawstwa, kładąc szczególny nacisk na nową teorię biologiczną Miczurina i Łysenki, np. Keller: „Darwinizm i szkoła miczurinowska" (dla wyższych klas szkoły podstawowej, W. Michajłow „Niektóre zasady biologii w świetle teorii materializmu dialektycznego" (liceum). Nasza Księgarnia obok książek przyrodniczych z cyklu „Ciekawe i pożyteczne" daje sporo wiadomości o Polsce i o świecie współczesnym, np. cykl „Piękno Polski".

Cykl życiorysów, wydawanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy zapełni sporą lukę w naszej literaturze dla młodzieży. Ukazały się dotychczas: Jarosława Iwaszkiewicza „Chopin", Koźmińskiego „Sułkowski — Jakobin polski"; Henryka Mościckiego „Szymon Konarski" i. i.

W dziedzinie beletrystyki zarówno państwowe i społeczne jak i prywatne wydawnictwa dają przeważnie wznowienia i tłumaczenia. Wymienię kilka nowych powieści: Helena Bobińska „Lipniacy", Wanda Żółkiewska: „Pluton Wacka Hutnika", Centkiewiczowie:

„Odarpi syn Egigwy", Maria Kownacka: „Tajemnica uskrzydlonego serca".

A jak wyglądają plany na najbliższą przyszłość?

W poszukiwaniu nowych autorów i tematów związanych z życiem współczesnym, „Nasza Księgarnia" zainicjowała cykl pamiętników ludzi pracy. Np. przodownik Michał Krajewski opisuje już swoje dzieje. „Książka i Wiedza" przygotowuje książeczki o budującej się Warszawie (Hanny Januszewskiej: Opowieść o Trasie W — Z) i cykl książek z różnych dziedzin przemysłu, techniki i produkcji. To samo wydawnictwo opracowuje życiorysy polskich działaczy rewolucyjnych.

Z inicjatywy i przy współudziale Ministerstwa Kultury i Sztuki graficy tworzą obrazkowe książki dla przedszkoli, mające dopomóc dzieciom w poznaniu otaczającego ich świata. Cykl wydaje „Nasza Księgarnia".

Jeśli zajrzymy na półki księgarskie nie znajdziemy tam wiele książek o sztuce. Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik" obrała więc sobie tę zaniedbaną dziedzinę.

Przygotowuje cykl książek wprowadzających dzieci młodsze w zasadnicze pojęcia jak dźwięk, barwa i i.

Dla starszych projektowane są powieści z życia artystów, aby po przez twórców zbliżyć dzieci do dzieł sztuki i wyrobić w nich smak artystyczny.

W planach prócz książek o sztuce i o zdobyczach kulturalnych, przewidziany jest cykl powieści o bojownikach postępu i wiedzy.

Maria Kann

WERONIKA TROPACZYŃSKA-OGARKOWA

Mówimy o sobie

Dzieci i ryby nie mają głosu.

— O, nie. Przepraszam. „Ryby śpiewają w Ukajali", a dzieci chcą się wypowiedzieć w sprawach dla nich ważnych.

Od roku 1945 segregatory naszej redakcji są stale wypełniane listami dzieci. Zaczęło się od ustalenia, czy „Płomyk" — to jest ten sam prawdziwy „Płomyk", czy też może przypadkiem jakaś pozostałość wojennego „Steru"". Zaraz po ustaleniu tożsamości pisma i po odnowieniu przyjaźni, przyszła kolej na sprawozdania z życia dzieci. Wspominały one pacyfikację wsi, łapanki, przeżycia w rowach — pod obstrzałem... Listy owiane były nieraz smutkiem sieroctwa, a zawsze świadczyły o ponad wiek okrutnej dojrzałości.

W roku 1946 ton listów począł się zmieniać. We wsi rodzice postanowili budować szkołę. Nauczycielka wyszła z dziećmi zasypywać rowy strzeleckie. Tu ułożono sto pięćdziesiąt metrów chodnika, tam uporządkowano piwnice, gdzieindziej uprzątnięto gruz z przed budynku szkolnego. Czerwony graniastosłup cegły, jak zwiastun lepszych dni, pojawił się na kartach listów. A nieco później dzieci doniosły, że szkoła już jest. Teraz nadszedł czas na troski o pomoce szkolne. I te trudności rozwiązano przy pomocy starszego społeczeństwa. Wtedy dzieci zaczęły mówić o wycieczkach, i o książkach do bibliotek, które trzeba zdobyć zespołowym wysiłkiem.

Ostatnie lata przyniosły zainteresowanie współzawodnictwem pracy dorosłych i dzieci w szkole, przejawami gospodarczego życia okolicy i wreszcie walką z analfabetyzmem.

Na pierwszych wczasach, jakie zorganizowała redakcja „Płomyka" Płomykowcy omawiając trzyletnią korespondencję, sami uwidocznili w rysunku przemiany, które w nich zaszły, od przeżyć wojennych — do udziału w życiu kraju.

A oto dwa listy, które mówią o walce dzieci z analfabetyzmem.

...Więc ja chodzę do szkoły i postanowiłem stanąć do walki z analfabetyzmem i układam plan.

1. Postanowiłem rozpowszechniać gazety i nakłaniać ludzi w swojej wiosce do ich prenumeraty. Ponieważ człowiek czytając gazety uczy się. Jeżeli ktoś umie trochę czytać, to czytając gazety nauczy się bardziej.

2. Nakłonić wioskę swoją, aby założyła kurs dla analfabetów, bo przez czytanie książek człowiek także się uczy.

3. Mam mamusię, która bardzo słabo pisze i czytać nie umie. Postanowiłem matkę nauczyć czytać i pisać oraz kilku sąsiadów. Tym przyczynię się do zwalczania analfabetyzmu na wsi.

Kozioł Edward

...Przypuszczam, że jesteście ciekawi w jaki sposób nauczyłem czytać moją jedną znajomą. W bardzo prosty. Kiedy przyszła do nas, to siadałem do stołu, niby to odrabiać lekcje, prosiłem do siebie swoją „uczennicę" i prosiłem, żeby próbowała pisać. Od tego próbowania zaczynała się prawdziwa nauka. Ręka trzęsła się, pióro skrzypiało, ale w mozolnym trudzie zaczęły pokazywać się literki, pierwsze literki człowieka nie umiejącego do tej pory pisać... Dalsza nauka była już łatwiejsza, bo sprawne trzymanie pióra, umiejętne stawianie liter było pokonane.

Jan Smolarz

JFRZY BROSZKIEWICZ

KSZTAŁT MIŁOŚCI

Cóż wiesz o pięknem? Kształtem jest miłość

Cyprian K. Norwid („Promethidion")

rysunki ANTONIEGO UNIECHOWSKIEGO

11

W listopadzie nastąpiły przenosiny od Brzezińskiej do „Dziurki". Wynikło to z jakiejś awantury pomiędzy dwiema grupami kawiarnianych bywalców — madame wzięła stronę starszych, młodzi obrażeni wynieśli się na Miodową do „Dziurki" w pałacu Tepperów. Fryderyk był nawet zadowolony z odmiany. Na przeciw „Dziurki" znajdował się handel nut Brzeziny. Fryderyk bywał tu również dzień w dzień — południową porą. Teraz więc pogodził piękne z pożytecznym. Brzezinę począł odwiedzać w przedkawiarnianych godzinach. Starym zwyczajem grzebał się wśród wydawniczych nowości, co ciekawsze przegrywał na instrumencie znajdującym się w tylnym pokoiku. Z archiwów zaś wyciągał starościwieckie ciekawostki węsząc za niespodzianką — za jakimś nieznanym zapomnianym majstrem. Dawniej nie mógł się stąd wyrwać — dziś jednak wpada na krótko i raczej z obowiązku czy przyzwyczajenia, niż dla przyjemności. Dwa stoliki w kącie pod oknem — oto biegun magnetyczny owych lat. Stoliki insurgentów — dla jednych; stoliki śmierdziuchów — dla drugich.

Owi drudzy to ci, co z olimpijskiego salonu hrabiego Mostowskiego raczyli zstępować też i w progi „Kopciuszka". A więc: Koźmian, Osiński, Wężyk, Kropiński, Molski— mistrzowie literatury, dramatu poetyckiej teorii i praktyki.

Mistrzostwo ich łatwo ocenić — w 1809 roku sypnęli odami na cześć Empereura jak z rogu obfitości, rytm strof dyktował im krok napoleońskich korpusów i dywizji. Gdy Nike znad Sekwany przestała patronować polom europejskich bitew, rytm strof w nowych odach począł dyktować krok aleksandrowskich i mikołajowskich pułków. Imię Aleksandra stwarzało nawet piękniejsze okazje do mitologicznych metafor niż imię abdykanta z wyspy św. Heleny. Poza tym nic dziwnego w owej metamorfozie — zmieniło się imię, pozostał cesarz, zmienił się geograficzny kierunek adoracji — nie zmienił się kierunek politycznej myśli i literackich cnót dyktowanych przez Lakarpa czy Boileau. Zasobni, wytworni, eleganccy wieszczowie muz klasycznych mistrzowie literackiej ceremonii salonów uczepili się przeszłości, jak rzepy psich ogonów. Uczepili się bowiem przeszłości w ogóle. W Europie śmierdziało zdradą i buntem przeciw starym porządkom. Wypadało więc w interesie cesarskiej, arystokratycznej oraz własnej skóry ustawić warty i czaty. W sztuce też. I jak komisje śledcze Nowosilcowa posługiwały się kodeksem aleksandrowsko-napoleońskim, tak wieszczowie muz klasycznych podparli swe dusze kodeksem „boalowskiej" estetyki.

A tymczasem Mickiewicz Adam wydał w Wilnie „Poezje Adama Mickiewicza" — tomik pierwszy z „Balladami i romansami" ukazał się w roku 1822 a tomik drugi, czyli „Grażyna" oraz „Dziadów" części druga i czwarta, w 1823 romantycznym już roku. Salon hrabiego Mostowskiego, gdzie zbierał się tamten podtatusiały Parnas, fuknął zbiorowo i pogardliwie przez nos w tym jeszcze pseudoklasycznym 1823 roku.

Potem Adamem Mickiewiczem zaopiekowali się senator Nowosilcow i generał Benckendorf. Mimo to „Sonety krymskie" i „Konrad Wallenrod" znalazły drogę do Warszawy. „Konrada Wallenroda" będzie się czytać z biciem serca i łzami w oczach — ów poemat to gorzki dowód pamięci o przyjaciołach dekabrystach, którzy po śmierci „dobrego pana" Aleksandra postanowili nowemu samodzierżcy zagrodzić drogę do tronu. Nowy samodzierżca wszedł na tron po ich trupach, a Ekscelencja Nowosilcow dobrze pojmie intencje „Wallenroda" — nie tylko zakaże propagowania czy choćby wzmiankowania owej poezji, ale wystosuje do cara Mikołaja poświęcony Mickiewiczowi i „Wallenrodowi" list. Wskaże w nim na konieczność zaopiekowania się niebezpiecznym umysłem człowieka, który napisał wprawdzie odę — ale odę do młodości. Za dużo tych młodości i wolności i patriotyzmów kryje się w panu Mickiewiczu jak na lisią czujność Senatora Mikołaja Mikołajewicza Nowosilcowa.

Nie tylko pan Senator pocznie protestować. Strażnicy i czatownicy przeszłości już teraz poczuli groźny geniusz nosem. Pan Kajetan Koźmian po lekturze „Sonetów krymskich stwierdził, że Mickiewicz jest półgłówek wypuszczony ze szpitala szalonych, który na przekór dobremu smakowi, gmatwaniną słów niepojętego języka niepojęte i dzikie pomysły baje..."

Gdy zaś tej właśnie jesieni imć Podczaszyński przywiózł z Paryża litografowany portret Adama Mickiewicza i pokazał go w „Kopciuszku" Koźmian prasnął fajką o ziemię, by krzyknąć: biada! biada nam, już teraz robią portrety śmierdziuchów!

Podczaszyński prosto z „Kopciuszka" przybiegł do „Dziurki" i z wypiekami na twarzy opowiedział przyjaciołom — siedzącym przy dwu stolikach w kącie pod oknem — całą historię. Wysłuchali w milczeniu. Zanim zaś zdążyli wybuchnąć wrzawą złości i oburzenia Maurycy uśmiechnął się bardzo zjadliwie, zagrał palcami na blacie stołu i oświadczył:

— Pięknie! To i my b ę d z i e m y śmierdziuchy!

Maurycy dodał jeszcze, że ów okrzyk „biada nam" prawdopodobnie kryje w sobie bardzo wiele racji i że ujawnieniu owej racji winno się możliwie jeszcze dokładniej niż dotąd dopomóc. Śmierdziuchy zaś biły mu brawo tak gromkie, że cała kawiarnia z ciekawością — ale i uszanowaniem — zwróciła głowy w stronę owych dwu stolików w kącie, przy którym siedzieli kolejno licząc od lewej — panowie: Witwicki Stefan i Zaleski Bohdan — poeci, Magnuszewski Dominik — zapoznany uniwersalny geniusz i megaloman, Antoni Edward Odyniec — poeta, Maurycy Mochnacki, Juliusz Fontana, Chopin Fryderyk, Podczaszyński Michał i Jan Ludwik Żukowski. Panowie śmierdziuchy — podług nomenklatury mistrza Koźmiana. Podług zaś nomenklatury własnej — panowie insurgenci.

W Europie istotnie śmierdziało zdradą buntem i insurekcją przeciw starym porządkom.

Fryderyk został owym panom przedstawiony i został przez owych panów przyjaźnie powitany już w półtora roku po pierwszych potyczkach Maurycego z obrońcami dziewięciu Muz, cesarskich koron i autorytetu siwych włosów.

Zaczął jak wiecie — Mickiewicz. W Europie już od dawna zachłystywano się Byronem — w Niemczech noszono zielone fraki i żółte kamizelki à la nieszczęsny Werther i w werterowskim stylu z egzemplarzem romansu w dłoni strzelano sobie w łeb. Zostawały karteczki — „Nikogo nie winić... chyba miłość moją".

Trzeźwiejsza Anglia wypędziwszy Byrona, miast spać, ślipiała nad romansami Waltera Scota przy świeczce do świtu.

Szekspir wstrząsał widowniami wszystkich stolic a Wiktor Hugo był już — i jeszcze — olbrzymem francuskiej poezji.

W Warszawie zaś i w Wilnie o romantyźmie cicho. Wielką Infekcję poprzedziła skromna, sentymentalna uwerturka: romanse pani Krudener i rzewne losy Heloizy. „Romanse i Ballady" pana Mickiewicza bardzo były bliskie ich nastrojom i właściwie dopiero drugi tomik poezji począł wieścić nowe czasy. Malczewski, Zaleski, Goszczyński też poczęli ujmować pióra w dłonie.

Pierwszy zabrał głos w tej sprawie łagodnego serca profesor Brodziński. Pochwalił klasyczność — pogłaskał romantyczność. Byle nasze miasteczko wesołe, byle własny dom spokojny — głosił z głębi sentymentalnej swej natury i nakłaniał do zgody starości z nowością.

Nic z tego. Wpierw dostało mu się od współtowarzyszy: znakomity uczony Jan Śniadecki nawymyślał Brodzińskiemu od oportunistów a romantyczność zmieszał z błotem. Nazwał ją „szkołą zdrady i zarazy"! Po salonach kpiono z Brodzińskiego poza oczy a zgodnym chórem wykpiwano owe romantyczne piekności, o których — jak wrzasnął Śniadecki — wszystkie baby wiedzą. Miał o tyle rację, że Mickiewiczowe tomiki „służący i pokojowe kupowali najwięcej" widząc ich język bliskim sobie, jak koszula ciału. Nic dziwnego że dostało się Mickiewiczowi, jeśli dostało się Szekspirowi — ba, Rasynowi nawet za brak „starannego wychowania i nauki".

Wtedy jednak pan Maurycy Mochnacki odezwał się po raz pierwszy. Maurycy znał już Szekspira, Goethego, Tiecka, Novalisa, Hoffmana — w literaturze rodzimej był równie biegły — cenił niektóre estetyczne poglądy Euzebiusza Słowackiego (który właściwie był trochę romantycznością podszyty) — za wzór stawiał sobie Schelinga i Schlegla. A więc erudyta — człowiek świadomy rzeczy i dobrze uzbrojony.

Nie na wiele zdawały się tak piękne zalety, gdyby nie pióro. Początkowo jeszcze sporo w tym wszystkim było blagi młodzieńczego, dwudziestojednoletniego wymądrzania się i wzorowania na cudzej filozofii. Ale już wtedy... Ech, sami czytajcie: „Jeżeli Wirgiliusz, jak pewna wieść niesie pozwał Blumauera przed sąd Jowisza, oskarżając go o trawestowaną Eneidę, również a może i większe miałaby prawo cała grecka starożytność ująć się za znieważone piękności wzory, które dzisiejsi pseudoklasycy... ze znacznym jej powagi i sławy uszczerbkiem naśladować chcieli. Miałaby prawo zapytać się ich, dlaczego wywołują z grobów jej święte znamiona i poważają się nazywać klasycznem w poezji, co jest szczerą miernością... oraz pozornem imieniem źle ubarwionej niemocy umysłowej..."

Co?

Swego czasu pan Mikołaj odczytał ów zamieszczony w „Dzienniku Warszawskim" artykuł na głos przy stole. Pokazał mu go z oburzeniem profesor Linde — pan Mikołaj chciał go odczytać z niemniejszym oburzeniem. Tymczasem nie umiał się powstrzymać od kilkakrotnego parsknięcia śmiechem. On — zwolennik i entuzjasta franko-klasycznej literatury!

Fryderyk śmiał się również, wtedy jeszcze nie bardzo jednak pojmował o co chodzi ojcu, a o co autorowi. Ojciec skarcił syna i siebie za nietaktowną radość i doczytał do końca z oburzoną powagą. Jeśli jednak nawet on nie umiał oprzeć się urokom Maurycowej pasji pisarskiej, to jakże się śmiali — jakże się śmiali! młodzi zwolennicy romantyczności w Warszawie i w Wilnie.

Tak właśnie rozpoczęła się w Warszawie pod piórem Maurycego Mochnackiego insurekcja literacka. Trochę to śmieszne, a trochę wzruszające, że matka Maurycego — z pokolenia Mikołajów Chopinów — przerażona echem, które obudziło na salonach Mostowskich i Mohrenheimów pióro jej syna zmusiła go do rocznego milczenia. Mama kazała — syn jeszcze musiał. Ale — milcząc— nie tracił czasu. Przyjaciele odwiedzając Maurycego zastawali go rozwalonego na podłodze, z lulką w zębach, wokół zaś księgi, książki i księgi. Toteż gdy w 1827 już na pewno romantycznym roku skończyło się milczenie Maurycego, Koźmian każdy numer „Gazety Polskiej" brał do ręki z biciem serca i narastającą w gardle pasją, a senator Mikołaj Mikołajewicz czytając mrużył oczy —wietrzył w literackiej szkole zdrady i zarazy inną jeszcze zarazę i zdradę.

Koźmian bał się zresztą nie tylko „Gazety Polskiej", w której pracowali Mochnacki, Bronikowski, Żukowski. Minęły już czasy zmowy milczenia wokół romantyczności — i oto, rzecz znamienna, do walki z literackim regimentem mostowskiego salonu ruszyli nawet pierwsi grafomani romantyzmu. Przysługa niedźwiedzia, ale fakt — powtórzmy — znamienny.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Kampania wrześniowa w oczach żołnierzy

(Dokończenie ze strony trzeciej)

A właśnie na placówce noc była cicha i niezrozumiała, nieprzyjaciel nieznany i niepojęty.

I stąd wiem, że śmierć ma zapach stęchłej, zaschłej wody, a strach żołnierski jest nie w zgiełku bitwy i widoku ruin i krwi, ale w mroku i ciszy, podkreślonej dwoma niepotrzebnymi wystrzałami.

Żołnierz walczy

...Gwizdnęło mi coś koło lewego ucha. Jednocześnie poczułem piekący ból w lewym kciuku. Chwała Bogu! nic groźnego. Lekkie draśnięcie. Pocisk uderzył w kamień przede mną. Kamień odprysnął na mój palec, kula zaś przeleciała mimo ucha. W tym samym momencie oberwał mój sąsiad w mały palec prawej ręki. Założyliśmy sobie opatrunek, strzelając spokojnie dalej. Po południu rozerwał go granat. Dowódca plutonu sierżant Szklarski dokonywał cudów męstwa, zbierając obfite żniwo cekaemem, przy którym ryczał jak Indianin. Zginął przy nim po południu. Posunąłem się na prawe skrzydło kompanii. Atakujący na lewym skrzydle dostali respektu. Gdy przygotowywałem się do skoku, fiknął nagle któryś z moich ludzi przy odstrzale koziołka i padł na mnie. Strzał w głowę. Krew zabitego chlusnęła mi w twarz, zalewając oczy. Tymczasem szkopy posunęli się miejscami na odległość dziesięciu metrów, rzucając granaty ręczne. Wysiekliśmy wszystkich. Atak załamywał się. Odetchnąłem. Cisza. Żołnierzom spływał pot ciurkiem, rzeźbiąc bruzdy na pokrytych kurzem twarzach. Papierosy uspokoiły rozdygotane nerwy. Niemcy nie ruszali się na razie; widocznie mieli dość. Tymczasem zbliżało się południe. O odpoczynku nie mogliśmy nawet marzyć. Niemcy bezsprzecznie pomszczą się i bombardowanie wisiało w powietrzu. Najlepiej zdałoby się opuścić taką cholerną pozycję. Nie było rozkazu. Pierwszy pocisk grzmotnął parę kroków ode mnie. Zasypał mnie i dwóch żołnierzy, nie wyrządzając nam szkody. Ogień armatni — naloty — ogień artylerii nieprzerwanie przez półtorej godziny. Koniec świata — nerwy — nerwy! Leżymy bez ruchu jak sparaliżowani i zobojętniali na wszystko. Przejmujące jęki i wrzaski rannych. — Jak tu wytrzymać? Wytrzymaliśmy. Minęło. Całowaliśmy ziemię. W uszach nie ustawało bombardowanie. Gdyby chwilę tę wykorzystał przeciwnik i nas zaatakował, miałby może łatwą robotę. Na pierwszym skrzydle panika.

— Czołgi! — krzyknął przeraźliwie jakiś ranny. W szeregach zamieszanie. Żołnierze poderwali się, aby rzucić się do ucieczki. Skoczyłem na prawe skrzydło. Nie było łączności. Wyrwałem broń z pochwy, pobiegłem na małe wzniesienie pośrodku mego odcinka, zagradzając drogę. Zawrócili bezzwłocznie, gdy spostrzegli, że żyję. Odprężenie przyszło szybko, gdy się przekonano, że alarm był fałszywy. Nigdy w życiu nie życzyłem sobie nadejścia nocy, jak w tym dniu. Pod wieczór dowiedziałem się, że prawoskrzydłowa kompania opuściła pozycję. — Czekałem na rozkaz jak na zbawienie. Daremnie. Wysłałem więc łącznika do dowództwa batalionu. Po upływie godziny otrzymałem lakoniczne zarządzenie: „Odwrót w kierunku południowo - wschodnim. Zbiórka w miejscowości „M". Godzina 18,30. Pole bitwy okryła dymna mgła. Trzydziestu ludzi z mej kompanii odeszło do „wielkiej armii". Jedenastu ciężko rannych dźwigaliśmy ze sobą. Podchorąży Materna dostał odłamkiem przez oczy. Wypłynęły. Żył jeszcze. Dźwigałem go na zmianę ze starszym strzelcem Plewczyńskim. Na pierwszym postoju uścisnąłem przytomnemu Maternie dłoń:

— Byliście bohaterem przyjacielu — żegnam was.

— Żegnam was poruczniku — szepnął.

Skonał 20 minut później. Nie był odosobniony. Maszerowaliśmy całą noc. Obok nas, na wprost, wszędzie pożary. Niekiedy jakieś głuche dudnienie — pojedyncze wystrzały. Swoista, cierpka i duszę przytłaczająca zmora owładnęła nasze umysły.

W południe odmarsz. Cofamy się. Wreszcie odpoczywamy po prostu w chlewie, ponieważ zabudowania wsi K. leżą w gruzach. Wyrzuciliśmy mierzwę, trochę słomy i basta. Ciężki zaduch. Popijamy najzdrowszy trunek — wodę. Niektórzy delektują się suchą pajdą chleba, inni surową rzepą. Uczta luksusowa jak na nasze warunki. Wielu biega bezustannie ze spuszczonymi portkami. Po śliwkach napili się wody. W sąsiedztwie trzepnęły trzy pociski. Nikt się nie rusza — przyzwyczajenie. Ryzykuję pytanie:

— Gdyby tak w naszą komnatę grzmotnęły?

— Zrobiłoby się jaśniej — rzekł ktoś basowym głosem. Przede wszystkim mielibyśmy więcej świeżego powietrza.

Miał rację. Widzicie więc, jak nam się dobrze wiedzie.

Koniec

A wieczorem tego dnia poczęły się dziać rzeczy straszne...

Ostatni regularny pułk „zbrojnego ramienia" Rzeczypospolitej doszedł do kresu swej tragicznej wędrówki i teraz tutaj, na tej polanie leśnej, rozgrywały się rzeczy tragiczne i straszne. Oficerowie masowo strzelali do siebie, podoficerowie łamali i palili broń i sprzęt wojskowy, strzelali konie... Obcoplemienni, którzy jeszcze przy pułku wytrwali — odchodzili w swoje strony. Pułk przestawał istnieć, topniał z minuty na minutę, aż w końcu na polanie leśnej zostały tylko pomieszane szeregi żołnierskie i podoficerskie, zostali sami Polacy, którzy nie wiedzieli w pierwszej chwili oszołomienia, co z sobą zrobić, gdzie iść i — czy to w ogóle ma jakikolwiek sens iść gdziekolwiek? Nadto zostały trupy naszych oficerów z pułk. Tabaczyńskim na czele. Trzeba je było pogrześć, trzeba było ostatni pacierz nad ich mogiłami odmówić...

Żołnierzy było tu jeszcze wielu, ściągali z różnych stron, z Białobrzegów, z Woli Gułowskiej, gdzie mieli już zdobyte pozycje niemieckie i działa i gdzie niektóre kompanie trwały jeszcze na linii bojowej, biły się następnego dnia i dopiero pod wieczór zaczął je spychać z powrotem ogień artylerii. Stały i nasze działa — zamilkłe, bo zapalników zabrakło. Mieszali się marynarze z lotnikami, rusznikarze, ewakuowani z warszawskich fabryk i żony oficerów na białoruskich biedkach w futrach i boso, ścichłe takie, zgaszone, nieporadne. Przybywało rannych — tych, co o własnych siłach szli jeszcze, bo inni zostawali na przedpolu dopóki się nimi sanitariusze niemieccy nie zajęli. Dokąd mieliśmy ich zabrać? Klęskę widać było na każdej twarzy, rozpacz zamykała usta fermentując w nienawiść głuchą i zawziętą, co po paru miesiącach miała się zamanifestować pierwszymi aktami dywersji. Kotłowaliśmy się jeszcze cały dzień, z jedną dręczącą myślą: co robić? Ktoś się zastrzelił, inny (major) był już w cywilnym ubraniu. Spotkany zaczął rozmowę zdumionym pytaniem: „wiesz, że dziś jest piąty październik?"

Nie wiedziałem, ale nie wydało mi się to ważne. „Co robić? pytaliśmy starych żołnierzy i spotykanych oficerów, naszych dowódców. Wzruszali ramionami.

Doszliśmy nocą do wioski, gdzie kwaterował sztab. Nie wiem jak się nazywała. Generał Kleberg, jedyny w tej chwili zwierzchnik Wolnej Polski, siedział w chacie złamany zupełnie (patrzyliśmy przez szybę) żółty, stary. Przed paroma minutami depeszował Niemcom gotowość kapitulowania. Żołnierze palili i zakopywali broń, rozdawano resztki zapasów z taborów. Już mogliśmy palić ogniska w lesie...

Płonęły aż do świtu, szóstego października 1939 roku.

SŁOWO O „EPOCE"

(Dokończenie ze strony drugiej)

skwie. Sygnalizowano „Epoce" z Paryża o licznych odpowiedziach na ankietę, będących w drodze od wybitnych osobistości w Stanach Zjednoczonych i Chinach, wobec jednak szybkiego rozwoju wypadków nie zdążyliśmy ich ani otrzymać ani wydrukować.

Zaskoczyła nas wojna. Zaskoczyła — choć nie była niespodzianką w Europie dla ludzi wiedzy i postępu, dla ludzi pióra i myśli humanistycznej, nie mających złudzeń co do treści społecznej faszyzmu, co do jego roli i napastniczych zamiarów. Dzisiaj wiemy, że wszystkie ostrzeżenia i horoskopy, wypowiedziane na łamach „Epoki" co do niebezpieczeństw grożących Polsce ze strony pangermańskiego imperializmu i światowego obozu faszystowskiego, potwierdzone zostały przez późniejszy rozwój wydarzeń.

*

W tece pośmiertnej Wacława Nałkowskiego (zmarł w 1911 r.) pozostał między innymi plik pojedynczych karteczek zapisanych gęsto ołówkiem i bardzo nieczytelnie. Okazało się, że była to zakrojona na obszerną pracę krytyka „Legendy Młodej Polski" Stanisława Brzozowskiego.

Powierzono ją w 1938 r. podpisanemu, jako bliskiemu współpracownikowi Wacława Nałkowskiego, w celu wydobycia wartości, które można by jeszcze ocalić z pożółkłych, zbutwiałych i już częściowo rozsypujących się kartek. Ocalić jako argumenty w toczących się wówczas sporach ideologicznych, a także jako przyczynki na użytek przyszłych dziejopisów epoki minionej.

„Legenda Młodej Polski" opuściła prasę w r. 1910, stając się jak wiadomo fenomenem literackim i przedmiotem uniesień i zachwytów, z jednej strony, potępień i oburzenia — z drugiej, a przede wszystkim źródłem zajadłych dysput i sporów. Rozprawę z Brzozowskim w jego nowej i ostatniej fazie rozwojowej zamierzył właśnie Wacław Nałkowski. Wskutek przedwczesnej jego śmierci pozostały tylko bezcenne myśli i uwagi natury społecznej i filozoficznej, które udało się uratować, drukując je w 1939 r. na łamach „Epoki".

Z tego nieuporządkowanego i rozbitego na fragmenty materiału wyłoniło się jednak wyraźnie krytyczne i zdecydowanie negatywne stanowisko Nałkowskiego. Trudno tu we wspomnieniu o „Epoce" szerzej się rozwodzić nad krytyką „Legendy", ale warto jednak poruszyć jeden fragment oświetlający stanowisko myślowe Nałkowskiego. Więcej jeszcze! Fragment zbliżający znacznie tę promienną postać, przenoszący ją niejako w rodowodzie demokratycznym do dni naszych.

Wyłuskując myśl Brzozowskiego z zawiłej filozoficzno - poetyckiej formy i przekładając ją na prozaiczną mowę życia, Nałkowski przyznaje (rok 1910), że samo „postawienie pracy na piedestale jest słuszne i doniosłe w skutkach, ale naprzód trzeba zbudować ten piedestał. Bez tego piedestału posąg pracy ugrzęźnie w bagnie burżuazyjnej reakcji. Zalecać i sławić pracę „bez zastrzeżeń" m o ż n a b ę d z i e w t e d y d o p i e r o, g d y o n a s t a n i e s i ę d u m n ą w ł a d c z y n i ą a nie pokorną sługą kapitału. Dziś sławić pracę jest to sławić służalczość, zalecając te cnoty, które są psa zasługą, a hańbą człowieka. Jan Nietzsche, gubiąc arystokratyzm, stał się niechcący ostoją dla nadfabrykantów, tak i Brzozowski ze swą czcią dla pracy pracuje tylko dla nich". Jak głęboki i olśniewająco przenikliwy był ten sąd Nałkowskiego o tajemnej treści filozofii Nietzschego, potwierdziła po latach trzydziestu wielkokapitalistyczna ideologia hitleryzmu, który do wieńca swej chwały obok Wotana wplótł Nietzschego jako jedno ze źródeł natchnień i jako cywilnego prekursora brunatnej oligarchii.

Niewydrukowane fragmenty olśniewającej krytyki „Legendy", które w Polsce współczesnej mogłyby ujrzeć światło dzienne — niestety wraz z innym bezcennym materiałem rękopiśmiennym spopieliły się w płomieniach walczącej Warszawy.

Obok rubryk, jakie normalnie spotyka się w każdym czasopiśmie politycznym i społecznym — „Epoka" posiadała w 1937—1939 kolumnę oryginalną pod nazwą „Dzieje współczesne w żywych osobistościach". Umieszczano tam sylwetki wybitnych ludzi żyjących, którzy z tytułu swych zasług przejdą kiedyś do Parteonu kultury narodowej. Nadto wiele szpalt poświęcono dziejom i genealogii demokracji polskiej.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o dramatycznych okolicznościach, które towarzyszyły ostatnim dniom wydawnictwa.

Numer „Epoki" z datą 15 sierpnia 1939 r. ujrzał światło dzienne bez przejść szczególnych. Następny miał się ukazać z datą 25 sierpnia r. 1939, a więc na sześć dni przed wybuchem wojny. Został jednak skonfiskowany, gdyż był pociskiem prawdy, wolnym już od niedomówień między wierszami. Wypadło więc szykować drugi numer po konfiskacie, który w parę dni podzielił jednak los poprzedniego. Zagięliśmy parol, że mimo wszystko numer wypuścimy, aby złamać opór nie tyle cenzury, co rządu, który nawet w przededniu sromotnej ucieczki z kraju wykazywał na tym polu gorliwość i wytrwałość godną lepszej sprawy. Niestety, pierwsze niemieckie bomby lotnicze na Okęciu skruszyły zamiary redakcji. Zamknąłem niepotrzebną już „Epokę" i przyłączyłem się do obrońców Warszawy.

Henryk Lukrec

W poprzednim 35 (248) „Odrodzenia". **Artur Sandauer:** „Oto człowiek". — **Johann Wolfang Goethe:** Złudzenie. — Nocny śpiew wędrowca. Przełożył: **Gabriel Karski.** — **Witold Wirpsza:** Weimarski epilog renesansu.— **Aleksander Puszkin:** Eugeniusz Onegin. Przełożył: **Julian Tuwim.** — **Witold Rudziński:** Zjazd kompozytorów w Łagowie. — **Marian Brandys:** U braci Menghi. — **Jan Śpiewak:** Wiersze Romana Bratnego. — **Stanisław Dzikowski:** Gusła. — **Jerzy Broszkiewicz:** Kształt miłości.— **Kazimierz Wołkowicz:** Telefilm i jego przyszłość. — **Bohdan Węsierski:** Nagrody zostały rozdane. — **Kontratyp.** „Panny młodej wciąż brak". — **Stanisław Marczak - Oborski:** Melpomena wyjechała na wczasy. — Kronika Radziecka. — **W. N.** Elegancja i miłość. — Na rusztowaniach kultury. — Tydzień bibliograficzny. — **Wacław Zawadzki:** Kramik bukinisty. — **Stanisław Szenic:** Grafika. — Korespondencja. — Camera Obscura. — Ilustracji 18. — Stron 8.

MIMOCHODEM

NAD SŁOWNIKAMI

Teatry warszawskie — pisał kiedyś Boy — mają, jak tramwaje, zamiłowania stadowe. Możesz czekać kwadrans na siódemkę, nie idzie żadna; potem wynurza się nagle jeden wóz za drugim. Tak samo teatry: ledwie jedna scena wystawi Moliera, druga i trzecia idzie za tym przykładem; a przedtem całymi sezonami zaniedbywano tego pisarza. Kiedy indziej podobny los spotyka Szekspira czy Musseta, Słowackiego czy Fredrę.

Myślałem o tym zabawnym spostrzeżeniu Boya, rozważając sprawę słowników. Od dłuższego już czasu wszystkie poważniejsze leksykony polsko-francuskie i francusko-polskie były wyczerpane. W księgarniach sprzedawano tylko „miniaturowy" (jak brzmiał tytuł) słowniczek „Dux" wydany w 1919 r. i tym się odznaczający, że zawierał jedynie słowa powszechnie znane. Otóż główną i podstawową zaletą słownika wydaje mi się taki układ, by zawierał możliwie wielki zasób słów. Cóż mi po leksykonie, gdzie znajdę tylko wyrazy, które znam?

Dlatego z radością dostrzegłem na wystawach księgarskich wznowienia dwóch poważnych słowników przedwojennych: Pawła Kaliny, w wydaniu „Czytelnika" i Bernarda Hamela — wydawnictwo „Trzaski, Everta i Michalskiego", Leksykon Kaliny, który jeden z recenzentów francuskich nazwał przed wojną „wydarzeniem lingwistycznym" podaje przy każdym słowie wymowę i akcent, zawiera nie tylko wyrazy powszechnie używane, lecz także i terminy naukowe, handlowe, bankowe, techniczne, lekarskie, prawnicze, sportowe, żeglarskie, radiowe, gwarowe („argot") i neologizmy. M. i. odnalazłem w tym słowniku wyraz „hitlerien", z którym bliżej zaznajomiła Francuzów, jak wiadomo, dopiero ostatnia wojna. Nie ma natomiast w tym słowniku nowego sensu słowa „maquis", które przed wojną oznaczało tylko korsykańskie zarośla i dopiero w roku 1941, gdy poprzez Francję przewiał wielki wiatr gniewu i buntu, stało się synonimem narodowej partyzantki...

Nowe wydanie słownika Kaliny jest niewątpliwie tanie ze względu na swą obszerność (22 tomy, po 700 blisko stron, tom drugi to słownik polsko-francuski), szatę graficzną, dobry papier i staranność edycji. Oba tomy kosztują 1.100 złotych. Drożej wypadła nowa edycja słownika prof. Hamela. Tom podwójny (co prawda w twardej i ładnej oprawie) kosztuje 2.000 złotych. Myślę, że dwa te słowniki nie stanowią dla siebie konkurencji. Ci wszyscy, którzy się zawodowo i z zamiłowania zajmują polsko-francuskimi sprawami, a także biblioteki i czytelnie, nabędą zapewne oba leksykony. Gdyż przy największym nawet wysiłku, żaden słownik nie może objąć wszystkich wyrazów.

Bernarda Hamela, autora słownika wydanego u Trzaski, spotkałem niedawno w Grenoble. Jest to od dawna gorący i wypróbowany przyjaciel Polski. Długoletni mieszkaniec Krakowa, gdzie wykładał długie lata, autor poematów „La Pologne Immortelle" i „Mon beau Kraków", interesuje się każdym zakątkiem podwawelskiego miasta — i niemal każdym jego obywatelem. Podczas drugiej wojny światowej był Hamel czynnym członkiem Ruchu Oporu; równocześnie pracował jako łącznik między konspiracją francuską a polską w Grenoble. Ścigany przez Gestapo żył przez długi czas w bardzo ciężkich warunkach. A gdy przyszło wyzwolenie, jedną z pierwszych książek opublikowanych przez tego wiernego miłośnika Polski był poemat o męczeńskiej Warszawie: „Varsovie La Grande Blessée". Obecnie, choć ściśle związany z uniwersyteckim środowiskiem swego miasta, Hamel nie przestaje pracować dla dobra naszego kraju. Tłumaczy na język francuski książki poświęcone dziejom Polski, naszemu życiu gospodarczemu, Ziemiom Zachodnim.

Osobliwa to funkcja owo przymierzanie do siebie różnojęzycznych znaczeń słownych: praca tłumacza. Mowy różnych narodów nie zawsze przylegają do siebie ściśle, jest czasem między nimi jakby pewien luz. Sprobujcie np. przełożyć na język francuski słowo „tęsknota; ani „langueur", ani „ennui", ani „nostalgie" nie będą odpowiadały wszystkim naszym życzeniom. Są także nieprzetłumaczalne na naszą mowę zwroty francuskie. Są gry słów, których u nas niepodobna odtworzyć — jak owe niewspółmierne wartości w wierszu Jacques Preverta, wierszu, który jest filozoficznym dowcipem na temat rachunku w restauracji. („Czy można dodawać do siebie telefon i homara"?). Uważna lektura, a nawet choćby pobieżne przeglądanie słownika uczy nas rozwojowych praw mowy, pokazuje jak zbiegają się ze sobą, krzyżują i rozbiegają różne temperamenty narodowe, jak się wyraża w języku indywidualna odrębność kulturalna i jak, mimo wszystko, odrębności te tworzą wspólne dobro cywilizowanego świata. **W. N.**

LIST DO REDAKCJI

Pseudoludowość w orientalnych piórkach

Józef Grabowski zamieścił w Nr. 32 „Odrodzenia" z dn. 7 sierpnia br. artykuł p.t.: „Ludowość nowych odmian tkactwa dekoracyjnego", poświęcony w części tkaninom wyrabianym obecnie w powiecie sokólskim. Nie wątpię, że tkaniny wystawione w Białymstoku są piękne i estetycznie wartościowe, ale wydaje mi się niesłuszne podciąganie tych niewątpliwie „inteligenckich" wyrobów pod miano sztuki ludowej, choć na pewno w znaczeniu technicznym są to dzieła rąk wiejskich. Autor dołączył do swego artykułu ryciny, przedstawiające tkaniny, wykonane „pod kontrolą, ingerencją i w oparciu o ich (inteligentów) koncepcję artystyczną".

Śmiem twierdzić, że nie można mechanicznie zapłodnić inwencji twórczej artysty ludowego inteligenckimi „koncepcjami artystycznymi", tak samo jak w swoim czasie brodate belfry z Monachium, przewiezione do Chin, nie potrafiły nauczyć żółtoskórych studentów rysowania węglem i wiszorkiem gipsowej głowy Apollina. Bo między samorodnym talentem ludowym, który do sztuki wchodzi przez mistrzowskie opanowanie rzemiosła z odziedziczonym po przodkach intuicyjnym wyczuciem tworzywa, a inteligentem z ukończoną akademią sztuk pięknych jest odległość nie mniejsza niż między Monachium a Nankinem. Wobec szczerej bezpośredniej twórczości ludowej, zachowującej całą dziecięcą naiwność patrzenia i odczuwania, absolwent akademii sztuk pięknych winien zająć stanowisko dyskretnego opiekuna, a nie dyrygenta, narzucającego swoje „koncepcje". Przypuszczam, iż J. Grabowski pamięta, ile zła i prawdziwego nieszczęścia wnieśli różni niepowołani „poprawiacze" w pewne ośrodki sztuki ludowej, choćby wymienić dla przykładu samą tylko Iłżę.

Szanuję i doceniam dorobek i zasługi „piewczyni tkactwa", p. Eleonory Plutyńskiej, zwłaszcza w zakresie wskrzeszania t.zw. dywanu mazurskiego i w jej osobistych osiągnięciach jako twórczyni tkanin dekoracyjnych wysokiej klasy, ale to, co nam J. Grabowski pokazuje na rys. 1, 2, 3 i 4 wcale a wcale nie jest ani z polska ludowe, ani nie przypomina oryginalnych „koncepcji artystycznych" polskiego tkacza z ukończoną akademią sztuk pięknych.

Są to układy i motywy starsze, sięgające swoimi genetycznymi korzeniami głęboko w przeszłość i to przeszłość nie polską, lecz wschodnią. Posiadają one bardzo odległe tradycje i swój ongiś zamierzony, dziś przez odtwórców już często nierozumiany, sens symboliczny, mistyczny lub rytualny. Jakiż związek uczuciowy może mieć dziewczyna z Białostockiego z „mihrabem" muzułmańskim, w uproszczonym turkmeńskim „namazliku" (nawet gdy ten „namazlik" modlitewnik jest tutaj nieco zatarty, jak na rys. 1)? Motyw „drzewa życia" jest u nas znany z kościołów, ale dlaczego na ryc. 2 z motywu drzewa życia wyrastają drobnokwieciste mniejsze drzewka z Kirmanu (także w dywanach t.zw. wazowych), albo „jodełkowate", jednokwiatowe rośliny z Ferahanu lub Senne? Jeszcze wyraźniejszym przykładem jakiegoś wtórnego orientalizmu jest ryc. 3, przedstawiająca tkaninę z rzędami słoni, jakby „żywcem" przeniesionych z dywanów, wyrabianych w Szirazie lub dolinie Szirwanu. Z artykułu J. Grabowskiego trudno się domyślić w jakim materiale i jaką techniką wykonano reprodukowane tkaniny, w każdym razie wydaje mi się, że nie było żadnego powodu do zakomponowywania korpusów słoni orientalnym „zarobieniem", podobnym do szachownicy. Wygląda to na bezkrytyczne powtórzenie starej sztuki kolorystycznej perskich dywaniarzy, mieszających w szachownicę dwa różne kolory prządla, by go specjalnie nie dofarbiać dla małych płaszczyzn. Podobnie orientalnie opracowane są zwierzątka w tkaninie z ryc. 4. Trudno w tym, co dają zdjęcia dopatrzyć się jakiejś oryginalnej „koncepcji artystycznej". To jest bezsprzecznie Wschód — posądzony o ludowość orientalizm.

Przed laty ówczesny dyrektor warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, nieodżałowanej pamięci prof. Józef Czajkowski, prosił mnie, abym odwiedził założoną przy szkole pracownię tkacką i powiedział studentom, jak się robi dywany. Możliwe, że był to już sławiony potem „Ład"; to w każdym bądź razie pamiętam, że pracownię dywaniarską zastałem w wielkim nieładzie. Mówiłem tam o produkcji dywanów i wielkich doświadczeniach Wschodu w zakresie tkactwa dekoracyjnego. Zakrakano mnie okrzykami: „precz ze Wschodem!" i pokazano mi „wzorowy, najnowocześniejszy polski dywan". Była to niewielka, ale ciężka i gruba sztuka o bardzo gęstym i przeraźliwie długim włosie, czyli inaczej wielka biała plama (któraż z gospodyń odważyłaby się położyć w swoim mieszkaniu taki biały dywan np. w Katowicach?), a na niej po długim „smakowaniu" i dedukowaniu asymetrycznie rozmieszczonych kilka kwadratowych plam czarnych i popielatych. Nie pomogło pokazywanie fotosów najnowocześniejszych wnętrz z Francji, Anglii, Niemiec i Ameryki, gdzie śmiały projektodawca mebli podobnych do stołów operacyjnych i skomplikowanych narzędzi chirurgicznych kładł pod nie autentyczne, kwieciste „kirmany" i „taebrizy", albo poważne „buchary". Wschód był przeklęty. Czczono tu tylko wielkie arytmicznie rozrzucone płaty szarzyzny na włochatej i niezdarnej płachcie. Na marginesie dodam, że porwano mnie w tył, kiedy chciałem stanąć na oglądanym dywanie, bo... „się ścieżki robią". Na cienkiej sztywnej jak drut osnowie konopnej wiązano węzły z niedoprzędu grubego na palec (najprzedniejszy gatunek wełny „Aaaa"). Pod naciskiem stopy ostra jak nóż osnowa przecinała węzły i w dywanie „ścieżki się robiły". Ale wracajmy do tematu; jak się okazuje teraz, znów wschodnia mamka dochodzi do głosu.

Jeżeli np. pp. Gałkowscy w Krakowie niby to nie posługują się Wschodem, ale tylko tu i owdzie w ogólnych rysach kompozycyjnych lub w zapełnieniu płaszczyzny ornamentem rozpoznamy niepogryzione, łakomie pochłonięte i niedotrawione treści wschodnie, to jest to ich sprawa osobista, rzecz ich upodobań estetycznych, uzdolnień twórczych, ambicji artystycznych, a może tylko interes merkantylny, bo jakże by w naszym dotychczasowym układzie stosunków wyglądał artysta, który nie umie i nie chce czerpać inwencji z zagranicy (niejednemu wypadnie ssać dwie mamki jednocześnie). Natomiast gdyby się miało pod maską inteligenckich koncepcji artystycznych przekazywać twórcom ludowym gotowe wzorki wschodnie, to nie jest już sprawa prywatna tego lub innego autora „koncepcji artystycznych", ale sprawa naszej sztuki ludowej, sprawa również społeczna.

Co do Wschodu, z którym polska sztuka ludowa przez całe wieki prowadziła stałą wymianę, to nie należy jeść go na surowo. Od tkaczy z Ardebilu, Heratu, Derbentu czy Kaszgaru, a nawet dalekiego Szantunu można przejąć wiele z ich umiejętności technicznych, ale nie wolno im zabierać ich własności duchowej, puścizny wielu pokoleń, żyjących na przestrzeni kilku tysięcy lat, nie posługiwać się ich „koncepcjami artystycznymi".

Tkacz ludowy, posiadający własny świat wyobrażeń nie ceni cudzych motywów, choćby zrozumiał je technicznie i potrafił zmieścić w dyscyplinie swojego rzemiosła. Ciekaw jest tylko cudzych „sposobów", tj. w usprawnieniu produkcji chętnie przyjmie zdobycze postępu. Chłopskie ornamenty tkackie wynikają nie z estetycznych założeń formalnych, których twórca ludowy nie potrafi nigdy „wydumać", lecz z potrzeb tworzywa i techniki, a wreszcie (ma to dziś na wsi coraz mniejsze znaczenie) z pewnych tradycji o charakterze nieraz jakby obrzędowym, która każe zastosować te a nie inne kolory, lub te a nie inne znaki (motywy), użyte ornamentalnie. I nigdzie nie jest to ornament dla ornamentu. Natomiast jeżeli rzemieślnik ludowy tylko kopiuje, to wtedy przestaje być artystą i jako kopista pracuje bez przekonania, bez tego ciepłego uczuciowego stosunku, jaki ma twórca do swojego dzieła. Nie tak dawno młodzieży wiejskiej dyktowałem splotami motyw liścia z Serabendu. Motyw ten nie przyjął się, a przecież moi uczniowie wykonywali potem znacznie trudniejsze motywy asymetryczne własnego pomysłu. Stwarzali sobie sami znacznie ciekawsze niż szachownice „zarobienia" zbyt wielkich płaszczyzn (także na korpusach zwierząt), mimo że nigdy nie oglądali słoni z Szirazu.

Zupełnie słusznie J. Grabowski stawia wielki znak zapytania nad przyszłością i skutkami tej nowej działalności p. E. Plutyńskiej prowadzonej w porozumieniu z p. Jaroszewiczem. Sztuka ludowa, tj. wytwórczość zasługująca na to miano, powinna żyć własnym życiem, własnymi impulsami i bez konieczności dożywiania fantazji twórców ludowych gotowymi wzorkami. Odnosi się to zarówno do tej sztuki ludowej, którą stworzyła wieś w celu zaspokojenia własnych potrzeb, jak i do tej produkcji rzemieślnika wiejskiego, którą wynosi się na sprzedaż do miasta. *Twórcę ludowego bez wzorków można bardzo wysoko podciągnąć usprawniając jego sprzęt techniczny, kształcąc jego poczucie smaku i pobudzając jego wyobraźnię* (od razu zastrzegam się, że jest to sprawa bardzo delikatnej natury). *Trzeba również artystom ludowym, mającym produkować dla miasta* (dla inteligencji), *zordanizować sprzedaż.* Wtedy odpadnie sprawa „budzenia" tkactwa na wsiach przez dostarczanie wytwórcom gotowych wzorków, t.j. przez daleko idącą ingerencję. Inteligent po pierwsze nie obsłuży wzorkami zbyt wielkiego obszaru, więc efekt ekonomiczny tej akcji może być nikły, a po drugie uzależni od siebie wszystkich zaangażowanych w robocie tkaczy, coś jak w dawnych manufakturach kupieckich przed narodzeniem się właściwego kapitalizmu. Tam środkiem ujarzmiającym człowieka był pieniądz zainwestowany w środki produkcji, a tutaj wzorki, które są także jednym ze środków produkcji. Nawet gdyby w tego rodzaju manufakturze wykonawcy wzorków mieli pewne ad libita i od czasu do czasu mieli możność stworzyć coś własnego, to jednak te ich dzieła w mieście będą spychane w cień przez rzeczy wykonane według wzorków. J. Grabowski potwierdza to moje zdanie oceną tkanin z wystawy białostockiej, a ja ze swojej strony mogę powołać się na przykład z okresu międzywojennego, gdy czwartorzędny plastyk opiekujący się Iłżą, zabrał tamtejszym ceramikom na wystawie w Berlinie złoty medal.

Na zakończenie jeszcze jedna prośba do wszystkich piszących o tkactwie i tkaninach. Wydaje mi się konieczne je, by przy omawianiu każdego rodzaju tkaniny oprócz fotografii podawać także jej krótki opis techniczny, t.j. z jakiego tworzywa, jak przysposobionego, na jakich krosnach, jak narządzonych, jaką techniką, jaką gęstość, wymiary itp. Przeciętnego czytelnika nie znudzi to na pewno, a rzecz przyda się nauce. Przy pewnej ścisłości fachowej zaczniemy lepiej rozumieć się i zaczniemy więcej korzystać zarówno z krótkich notat, jak i z przydługich amatorskich opracowań w pismach fachowych i może wreszcie na wydziałach niektórych naszych szkół artystycznych przestanie uczyć Marcin Marcina.

Jan A. Zaremba

„WESELE NA KURPIACH" W TEATRZE LETNIM

„Wesele na Kurpiach" Skierkowskiego wystawiane obecnie w Teatrze Letnim, jest jednym z najlepszych widowisk ludowych, w którym nie występują chłopi, ale zawodowi aktorzy.

Nie znajdziemy w nim cienia stylizacji. Wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, jest tu autentycz- obrzędy weselne, stroje, budowa chaty, sprzęty, wycinanki, ceramika.

Zasługą reżyserii i wykonawców jest ożywienie nikłej fabuły mnóstwem rysów charakterystycznych, zarówno w rozległej skali typów chłopskich, jak w mimice, ruchach, ekspresji. Dzięki temu widowisko, które mogłoby być nużące, przy całej swej ruchliwości i barwności interesuje, bawi, śmieszy, a chwilami nawet porywa.

spo.

OMNIBUS KULTURY ŚWIATA

„BUNTOWNIK GORSZY OD PUGACZEWA"

200 lat temu urodził się w małej wiosce koło Penzy, Aleksander N. Radiszczew. Znakomity pisarz-rewolucjonista, filozof i budziciel sumienia narodowego, był on jednym z najświatlejszych umysłów epoki, pierwszym zwiastunem nowych prądów, pierwszym, między innymi, który poważył się wskazywać na potrzebę trwałej przyjaźni między narodami polskim i rosyjskim.

Akademia Nauk ZSRR kończy wydawać „Dzieła zebrane" Radiszczewa, (pierwsze tomy ukazały się już przed wojną), prócz tego w przygotowaniu jest jednotomowe wydanie „Wyboru pism" oraz wznowienie słynnej „Podróży z Petersburga do Moskwy".

Książka ta była konfiskowana i prześladowana za czasów panowania sześciu carów. Pierwsze jej wydanie jest dziś ogromnie rzadkie, znane z kilku zaledwie egzemplarzy. Katarzyna II opatrzyła jeden z nich własnoręcznymi adnotacjami, z których np. jedna brzmiała: „to buntownik gorszy od Pugaczewa!" Radiszczew został skazany i zesłany na długie lata na Sybir. Właśnie akta procesu pozwalają nam poznać treść notat carycy (wzmiankowany egzemplarz bowiem zaginął). Pełne wydanie dzieł zebranych Radiszczewa również spotkał zły los, bo cały niemal nakład spłonął w pożarze Moskwy w 1812 r.

NASI ANTENACI

Na prawym brzegu limanu Bohu, w okolicy dawnego Olwja, dokonano ostatnio ważnych odkryć archeologicznych. Ekspedycja Akademii Nauk ZSRR odkryła tam osiedla scytyjskie, scytogreckie budowle kamienne i ceglane, brukowane ulice, wiele przedmiotów użytkowych, narzędzi pracy, ozdób itp. Wykopaliska mają doniosłe znaczenie naukowe i wykazują wysoki poziom kultury scytyjskiej.

Instytut Archeologiczny Ukraińskiej Akademii Nauk zorganizował w bieżącym roku około 30 ekspedycji naukowych. Między innymi prowadzi się wykopaliska na terenie Kijowa, gdzie w czasie zakładania przewodu gazowego znaleziono wiele cennych przedmiotów z czasów Włodzimierza Wielkiego i Jarosława Mądrego. Znalezisko obejmuje ciekawe okazy emalii oraz niezwykle interesujące grzywny srebrne kijowskie i nowogrodzkie.

W Tadżykistanie prowadzi się prace wykopaliskowe na terenie ruin miasta Pendżikentu, gdzie odkryto bogato zdobioną świątynię. Na Uralu w torfowisku Gorbunowskim znaleziono osadę z ok. 2500 r. przed Chr. Odkrycia te dają wiele świeżych wiadomości etnograficznych o przedhistorycznej Syberii.

Również i w Czechosłowacji dokonano sensacyjnych odkryć prehistorycznych: ekipa Muzeum Morawskiego znalazła w Dolnych Viestowicach (Morawy) grób dyluwialnego łowcy mamutów. Szkielet myśliwca znajduje się w doskonale zachowanym grobie, który świadczy o bardzo wysokim poziomie kultury, w szczególności zaś o skomplikowanym rytuale pogrzebowym. Szkielet przykryty jest zdobioną pokrywą z kości słoniowej, pierwotnie malowaną.

OLBRZYMI ATLAS DIALEKTOLOGICZNY

Studenci 50 różnych wyższych zakładów pedagogicznych współpracują z Instytutem Języka Rosyjskiego Akademii Nauk ZSRR, który podjął wydawanie ogromnego, zakrojonego na 13 tomów atlasu dialektologicznego języka rosyjskiego. Studenci wspólnie z pracownikami Instytutu dokonują w przeszło 500 punktach rejestracji regionalnych zjawisk językowych dla ustalenia granic ich występowania w terenie.

Atlas oprócz rejestracji poszczególnych gwar języka rosyjskiego będzie również wskazywał ewolucję, której podlegają te dialekty.

KŁOPOTLIWY DAR

W Paryżu otwarte zostało w pracowni zmarłego przed 20 laty rzeźbiarza Antoniego Bourdelle nowe muzeum miejskie. Zawiera ono ponad 800 rzeźb i 1500 rysunków ofiarowanych miastu przez wdowę po artyście. Otwarcie Muzeum Bourdelle zbiegło się z wystawieniem 60 jego brązów w ogrodzie Muzeum Petit Palais.

Antoni Bourdelle, wielki przyjaciel Polski, prócz znanego pomnika Adama Mickiewicza na placu Alma, stworzył szereg rzeźb poświęconych tematom polskim.

Paryż zamierza podobno wybudować specjalny gmach na to muzeum. Kosztorys wynosi 200 milionów franków. Projekt ten spotyka się z krytyką podnoszącą, że przyjmowanie darów powodujących tak znaczne wydatki nie jest specjalnie miłe.

MUZEUM DLA OCIEMNIAŁYCH

Muzeum Naukowe w South Kensington (Londyn) otworzyło wystawę przeznaczoną wyłącznie dla ociemniałych. Wszystkie eksponaty umieszczone są na wysokich stołach, tak by mogły być swobodnie dotykane; napisy i objaśnienia są podwójne — alfabetem Brailla i normalne.

HUMOR ANGIELSKI

Na tle ostatnich zarządzeń rządu Wielkiej Brytanii w sprawie dostarczenia ludności tanich okularów, doszło do oporu optyków, nie chcących zgodzić się na obniżkę cen. W autobusach londyńskich ukazały się ogłoszenia: „Kup sobie lepiej mikroskop, żebyś mógł dokładnie obejrzeć twoją rację mięsną".

I TRAGEDIA PO AMERYKAŃSKU

Nie samym chlebem człowiek żyje. A więc głodny londyńczyk może pójść np. na przedstawienie „Króla Leara z happy endem! Tak, w Londynie grana jest obecnie tragedia Szekspira „Król Lear", kończąca się... happy endem. Lear błogosławi szczęśliwym nowożeńcom Kordelii i Edgarowi!

Dla ścisłości zaznaczyć trzeba, że chodzi o wznowienie wersji grywanej na scenach angielskich w XVIII wieku.

UWAGA POECI

„Stany Zjednoczone mają mózg mechaniczny, zdolny przetłumaczyć sonet" — oto dosłowny tytuł pewnego artykułu w New York Herald Tribune. Dowiadujemy się z niego, że 30-tu matematyków i techników buduje w uniwersytecie kalifornijskim w Los Angelos wielki mózg mechaniczny złożony z rur katodowych itd. „Maszyna ta będzie mogła, jak się spodziewają konstruktorzy, obliczać płace, przepowiadać pogodę, rozwiązywać problemy społeczne i gospodarcze, dokonywać sprawdzeń różnych teorii naukowych i, być może, zastępować samodzielnie pracującego człowieka". Wynalazcy uważają, że maszyna będzie mogła „przynajmniej częściowo spełniać funkcje poety", a jako wyposażona w aparat do tłumaczenia na obce języki „dokonywać dosłownych tłumaczeń sonetów".

W rezultacie wspaniałych wynalazków amerykańskich 4 miliony bezrobotnych powiększy się, jak widać, o... paru poetów.

KŁOPOTY Z GOETHEM

Jak wiadomo J. W. Goethe urodził się we Frankfurcie n. Menem (zona amerykańska) równo 200 lat temu (25.VIII). Ale żył i pracował całe życie w Weimarze (zona radzieckaj). W obu miastach urządzono wielkie uroczystości związane z tym wydarzeniem. Amerykanie chcąc uprzedzić Weimar przesunęli po prostu „urodziny" o dobry miesiąc.

Tomasz Mann spłatał im figla stwierdzając w Weimarze, że udział swój w obu uroczystościach uważa za „symbol jedności kultury niemieckiej".

SZLACHETNY HANDEL

Z okazji niedawnej licytacji w słynnym „Hotel Drouot", (wielkiej sali licytacyjnej Paryża), na której sprzedano za 250.000 fr. rękopis znanej powieści Anatola France'a „Jerôme Crainquebille", przypomina się, że rękopisy France'a w istocie nie istnieją. Wielki pisarz miał oryginalny system pracy: notował swe myśli byle gdzie, na starych rachunkach, kawałkach gazet, zużytych pudełkach itp. Potem sklejał te notatki i posyłał do drukarni. Otrzymawszy odbitki puszczał w ruch nożyczki i pędzelek z klejem. Po 6—7 takich operacjach powstawała książka. Jedna z wielbicielek France'a, pani de Caillavet namówiła go, gdy był już sławny, by przepisał kilkanaście swych powieści na pięknym welinowym papierze holenderskim. Te „rękopisy" były czasem robione już według 20-go wydania książkowego...

Kaz.

Ukazał się numer 8 miesięcznika

„PAŃSTWO I PRAWO"

Numer 8 zawiera następujące artykuły:

Dr. STANISŁAW EHRLICH — Georgi Dymitrow — teoretyk marksizmu.
Dr KAZIMIERZ SECOMSKI — Zasady systemu finansowania inwestycji w Polsce
Dr IZAAK KLAJNERMAN — Kontrola państwowa a Rada Państwa.
Dr LEON SERAFINOWICZ — Przedsiębiorstwo państwowe w budżecie na rok 1949
TADEUSZ MICHAŁOWSKI — Przepisy o obrocie bezgotówkowym w świetle projektu nowego dekretu.
Dr SEWERYN SZER — Uznanie i wykonalność orzeczeń sądowych w sprawach cywilnych w świetle nowej umowy polsko-czechosłowackiej o wzajemnym obrocie prawnym.
Dr MIECZYSŁAW SZERER — Z zagadnień demokratyzacji prawa karnego
DUDLEY COLLARD — Haldane Society
Dr ROLF HELM — Z zagadnień wymiaru sprawiedliwości w Niemczech
Z. K. — Krajowa narada przedstawicieli wymiaru sprawiedliwości nad reformą postępowania karnego
Varia, Krytyka i sprawozdania. Przegląd naukowej prasy radzieckiej. Orzecznictwo cywilne. Orzecznictwo karne. Biuletyn Informacyjny Warszawskiej Rady Adwokackiej. Polska Bibliografia Prawnicza.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego 18, pok. 94, Tel. 814-62.
Adres Administrarji: Warszawa, ul. Smolna 12. Tel. 831-47
Prenumerata półroczna 450 zł. Konto Nr I — 1347.
Cena egzemplarza zł. 100.

Redaktor Naczelny: JERZY BOREJSZA Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, tel. 80-664 i 40-180 wewn. 22 — Redakcja przyjmuje od g. 11 do 13. Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 12, tel. 810-26
Drukarnia nr 2 „Czytelnik", Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna 100 zł, kwartalna 300 zł — Konto w PKO — I. 4739 B-53432 Wydawca: Spółdzielnia Wydawniczo-Oświatowa „Czytelnik"